

HENRYK GRYNBERG

# ZWYCIĘSTWO

INSTYTUT  

---

PARYŻ



LITERACKI  

---

1969





# ZWYCIĘSTWO

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 166

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

HENRYK GRYNBERG

# ZWYCIĘSTWO

Nikommu nie zależało na tym bardziej niż mnie,  
żeby fakty przytoczone w tej książce wyglądały  
inaczej —

Autor

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1969

OWEYBIBY WT

INSTITUT LITTERAIRE

---

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1969

CZEŚĆ PIERWSZA





Rosjanie szli wyboistym, glinianym gościńcem prowadzącym przez wioski, z których zostały same kominy. Szli przez wioski sterczących kominów i długimi tykami opukiwali drogę. Jechali na wozach ciągniętych przez konie, na lawetach armat i ciężkich, powolnych czołgach. Głowy mieli ogolone do skóry, brudne fu-rażerki nasunięte fantazyjnie na czoło. Za miękkimi, marszczonymi cholewami butów mieli zatknięte drewniane łyżki własnej roboty. Na postoju wyciągali je z za cholewy i jedli nimi zupę i kaszę, potem wycierali o spodnie i wtykali znów za cholewę. Szli przez cały dzień i całą noc, a potem znów cały dzień aż do nocy.

— Boże, ile ich jest! — mówili mężczyźni z niepokojem. — Wcale końca nie widać...

Rosjanie byli bardzo młodzi, osiemnastoletni, siedemnastoletni, nawet szesnastoletni.

— Wytracili już starsze roczniki — twierdzili mężczyźni ze znanstwem.

Młodzi żołnierze przygrywali sobie na harmoniach lub ustnych organkach. Wypijali duże ilości wódki, denaturatu, wody kolońskiej — co tylko im wpadło do rąk. Podobno gwałcili kobiety, ale tego myśmy już nie widzieli. Przeciwnie, kobiety patrzyły na nich ze współczuciem i prawdziwym wzruszeniem.

— Przecież to jeszcze dzieci! — mówiły. — I co toto wie? Co toto zaznało w swoim życiu? Idzie na wojnę, może nie długo zginie, a w domu matka płacze...

Staliśmy przy drodze i patrzyliśmy na nich, a mama ukradkiem ocierała łzy. Od czasu do czasu nachylała się do mojego ucha i mówiła szeptem:

— Przeżyliśmy... Widzisz, przeżyliśmy!...

Patrzyłem szeroko otwartymi oczami na czołgi, wielkie jak domy, sunące drogą i poboczem drogi.

— A jak teraz będzie? — spytałem patrząc na czołgi orzące ziemię w poprzeczne skiby.

— Teraz już będzie nam dobrze. Będziemy mogli żyć. Tak jak wszyscy. I nikogo już nie będziemy się bać...

— Nie będziemy się bać?... Dlaczego?

— Bo wojna się skończy. Zobaczysz, jak wszystko się zmieni.

— I nie będziemy się więcej bać ludzi? — pytałem z niedowierzaniem.

— No pewnie, że nie. Ludzie teraz będą dla nas dobrzy, zobaczysz...

— A Niemcy?

— Niemców już nie ma. Już ich więcej nie będzie. Przeżyliśmy ich! Czy ty to rozumiesz? Przeżyliśmy wszystkich Niemców...

Czułem na szyi jej gorący oddech, kiedy się nachylała do mojego ucha. Na policzkach miała rumieńce, nie od szminki, której używała, żeby wyglądać wesoło i zdrowo — prawdziwie.

— Ale dlaczego mówisz mi to wszystko na ucho? — zapytałem.

— Na razie jeszcze nie wolno o tym głośno mówić. Na razie nikt jeszcze nie powinien wiedzieć, że jesteśmy Żydami...

— A kiedy?

— Jak wrócimy do Dobrego.

— Do Dobrego? Dlaczego mamy wracać do Dobrego?

— Jakto, dlaczego? Musimy przecież odszukać tatusia, babcię, dziadka, naszą rodzinę...

Nic nie odpowiedziałem.

— Dlaczego nic nie mówisz? Jak myślisz, czy oni żyją?...

Znów nie odpowiedziałem.

— Dlaczego nie odpowiadasz? Nie pamiętasz już ich? Nie pamiętasz nawet tatusia?

— Pamiętam — powiedziałem. — Ale nie chcę...

— Czego nie chcesz?!...

— Nie chcę do Dobrego...

— Jakto? Dlaczego?!...

Nie odpowiedziałem.

— Dlaczego nie chcesz do Dobrego? Dlaczego nie odpowiadasz? Mów!

— Bo ja nie chcę być więcej Żydem...

Teraz ona nie odpowiedziała.

— Mamo, nie słyszałaś, co ja powiedziałem? Ja nie chcę! Naprawdę nie chcę... Ja już więcej nie będę Żydem, dobrze?

Znowu nie odpowiedziała. Podniosłem głowę, ale nie spojrzała na mnie. Patrzyła gdzieś daleko przed siebie.

— Nie będę, dobrze?...

— Zobaczymy... — odpowiedziała.

— Nie, ja chcę wiedzieć na pewno!

— No, dobrze, dobrze, jak będziesz chciał. Ja cię nie będę zmuszać. Kto wie, czy jeszcze w ogóle będą Żydzi...

W Kończanach ludzie wyciągali z popiołów metalowe zamki, kłamki, fajerki i kuchenne blaty. Stawiali przy pogorzeliškach szałas i gotowali na wolnym powietrzu. Biegali po lasach w poszukiwaniu swoich owiec i krów. Niektórzy szli do lasu i nie wracali, zwłaszcza ci, co w czterdziestym pierwszym roku zbyt ostentacyjnie cieszyli się jak Rosjanie uciekali.

Chodziliśmy od pogorzeliška do pogorzeliška i żegnaliśmy się z gospodarzami. Starali się nas zatrzymać.

— Dokąd pani pójdzie z dzieckiem? Przecież jest jeszcze wojna. W miastach głód. Tu na wsi zawsze łatwiej. Jest lato. Przespać można się byle gdzie, nawet w snopkach póki ludzie pobudują stodoły, a do zimy nie jedna chałupa stanie... W Swierżach się nie wszystko spaliło, można by tam u kogoś zostać na razie, a my byśmy przysyłali dzieci na naukę. Kto wie, ile to jeszcze potrwa zanim znów otworzą jakieś szkoły i co to będą za szkoły?...

Jedynie Kłodowska mamy nie zatrzymywała. Mama była pewna, że Kłodowska się domyśla, że jesteśmy Żydami, tylko stara się nie dać tego po sobie poznać. Mama kochała ją za to. Wiedziała, że Kłodowska zawsze broniła nas przed podejrzeniami ze strony innych ludzi. To że Kłodowska nie starała się nas zatrzymać, utwierdziło mamę w przekonaniu, że powinniśmy jak najszybciej wyjechać.

I Kłodowska i mama wiedziały, że oprócz owiec i krów w okolicznych lasach ukrywała się „Narodówka”. Dla „Narodówki” Rosjanie czy Niemcy to było wszystko jedno. Z tą różnicą, że od kiedy wiadomo było, że nie Niemcy wygrają wojnę tylko Rosjanie, „Narodówka” bardziej bała się Rosjan. Rosjan i komunistów. Zaś oprócz Rosjan i komunistów „Narodówka” najbardziej nie lubiła Żydów. I to właśnie było dla nas najgorsze. Rosjanom „Narodówka” nic nie mogła zrobić. Komunistów, o ile gdzieś byli, trudno było wykryć. Oni nigdy nie nazywali siebie komunistami. Natomiast bardzo łatwo było wykryć i dosięgnąć Żydów z Sokołowa, Białej Podlaskiej i białostockiego getta, którzy szukali schronienia w lasach.

Mama o tym wszystkim wiedziała. Wiedziała kto należał do „Narodówki”, wiedziała co robili z Żydami. Mieszkaliśmy między tymi ludźmi, chodziliśmy razem z nimi do kościoła, mama uczyła ich dzieci nielegalnie polskiego i katechizmu, nie mieli

przed nami tajemnic. Mówili, że Żydzi cieszyli się z przyjscia Rosjan w trzydziestym dziewiątym roku. Mówili też, że najgorsi NKWDziści to byli Żydzi. Niektórzy twierdzili, że to dobrze, że Hitler wyniszczy w Polsce Żydów zanim znów przyjdą Rosjanie, bo inaczej to Żydzi połączyliby się z Rosjanami, żeby wyniszczyć Polaków. Częstośmy tego słuchali. Mamie ciarki przechodziły po plecach, kiedy słuchała, ale musiała słuchać i nic nie mówić, a jeśli mówić, to mówić to samo. Łatwo można było sobie wyobrazić, co by nas czekało, gdyby ci ludzie dowiedzieli się, że byliśmy Żydami.

Dlatego nawet przy pożegnaniu nie wolno nam było się przyznać, że byliśmy Żydami. Żegnając się z ludźmi, z którymi wiele razem przeżyliśmy i którzy okazywali nam swoją przyjaźń, mama czuła się winna i nieczysta. Dziwnego uczucia doznawała wobec takich osób jak Nienaułowscy, którzy w ostatnim, najcięższym okresie okazywali nam elegancją i chrześcijańską pomoc zamawiając dodatkowe lekcje dla swoich dzieci, a żeby mieć jeszcze jedną okazję dawać nam jeść. Mama nie mogła nie czuć dla nich wdzięczności jako kobieta i matka, gdy jednocześnie, jako Żydówka, właśnie przed Nienaułowskimi czuła największy lęk. Była dwiema osobami naraz — musiała doznawać podwójnych uczuć. Nie było na to rady. Najtrudniej jej było przy pożegnaniu z Kłódowską. Rozplakała się. Było jej wstyd.

Furmanka odwiozła nas do Bugu. Przeprowadziliśmy się promem prowadzonym przez rosyjskich saperów i dostaliśmy się do zatłoczonego towarowego pociągu.

W pociągu mama również nikomu nie mówiła, że jesteście Żydami. Mówiła tylko, że od dawna nie miała wieści o swojej matce, ojcu, siostrach i młodszym bracie, i że nie wie, co stało się z moim ojcem. Niepokój ją ścisną za serce, mówiła, na myśl, że mogło im stać się coś złego, a przecież tyle złego się stało. Łkanie ją chwyciło za gardło, kiedy o tym mówiła. Ludzie ją pocieszali jak mogli. Każdego z nich spotkało nieszczęście, prawie każdego. — Ale nie każdego jednakowo — oponowała mama. — To jeszcze nie takie straszne, gdy się straci jedną osobę, nawet bardzo bliską i drogą, ale gdy straci się wszystkich i gdy człowiek zostaje na świecie sam zupełnie, sam jeden... — Niech się pani nie martwi, tak źle na pewno nie będzie — pocieszali ją ludzie, którzy nie wiedzieli, że mama jest Żydówką i że dlatego jej najgorsze obawy mogły się z łatwością sprawdzić.

W Mińsku mama chciała już bieć do znajomych, żeby się wszystkiego dowiedzieć, ale straciła odwagę i do nikogo nie poszła.

W ciężarówkach, które zatrzymywaliśmy na drodze, żołnierze

rze próbowali się zalecać do mamy. Kiedy byli zbyt natarczywi, mama mówiła, że jest żoną polskiego oficera, który wrócił z Rosji z wojskiem, że dostaliśmy od niego wiadomość, że jest cały i zdrow i właśnie do niego jedziemy. Dopiero w ostatniej ciężarówce, która jechała do samego Dobrego, mama powiedziała, że jest Żydówką, że wraca do miasteczka, w którym się urodziła i wychowała i w którym miała całą najbliższą rodzinę. Może oni, żołnierze, spotkali, a może przynajmniej słyszeli o jakichś Żydach, co ocalili? — pytała mama. Nikt jej nie odpowiedział i nikt więcej nie zalecał się do niej.

Dziadek, babcia, obie ciotki i nieletni wujek Hill mieli bardzo mało szans, żeby przeżyć — sami, bez pieniędzy i w lesie. Kto miał pieniądze mógł jeszcze chodzić od chłopca do chłopca i liczyć na jakąś pomoc. Ale i to trzeba było umieć, bo posiadanie pieniędzy miało i swoją złą stronę. Trzeba było wiedzieć do kogo pójść, komu, kiedy i jak płacić.

To nie było dla nich. Dziadek był religijnym Żydem, prawie fanatykiem — o świecie nie miał pojęcia. Babcia była mądrzejsza, ale umiała być mądra tylko u siebie w domu, w Dobrem, nie w lesie. Oboje byli na to za starzy. Ciotki zaś były za młode. Basia była ładna i pewien człowiek z Poznańskiego, katolik, chciał się z nią ożenić i zabrać w swoje strony, gdzie nikt by nie wiedział, że jest Żydówką. Ale ona nie chciała. Mówiła, że nie po to wychodzi się zamąż... On jej to proponował jeszcze na parę tygodni przed wywiezieniem Żydów z Dobrego. Starsza od Basi Chancia była nie tylko biedna ale i brzydka i nikt nigdy nie chciał się z nią ożenić. Miała grube nogi i duży nos i bała się ludzi. Wujek Hill, dziadka jedyny i ukochany syn miał pięknie zakręcone pejsy przy dziecinnych i zawsze bladych policzkach, jarmużkę na czubku głowy, długą, chasydzką kapotkę i studiował Talmud, chociaż miał wszystkiego trzynaście lat.

Dziadek być może czuł ulgę, kiedy Niemcy ustawili ich nad rozkopaną ziemianką. Chancia mogła czuć lęk, a Basia pogardę. A może obie czuły pogardę. Przecież patrzyły w oczy — mężczyzn. Może tylko trzynastoletni wujek Hill był naprawdę przeżony. Najnieszcześniejsza musiała być jednak babcia, która całe życie tyrała dla nich i harowała, która całe życie była matką. Zasyпали ich w ziemiance, w której ich znaleźli.

Ojciec został zabity w rok później. Zarąbany siekierą. Znalezione go pod Radoszyną, przy drodze, i tam zakopano.

Staliśmy na środku targowego placu otoczonego domami i sklepikami. Domy miały te same powykrzywiane, stare okiennice,

a sklepiki wydeptane, kamienne schodki. Plac upstrzony był końskim nawozem. Gdy stało się w Dobrem na placu, widziało się całe Dobre. W górze, pomiędzy chmurami przesuwająca się kościelna wieża, a przez niezabudowane przerwy pomiędzy domami widać było zielone łąki, snopki na skoszonych polach i las. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy siedzieliśmy na załadowanych tobołkami wozach i patrzyliśmy za siebie ostatni raz. Tylko drewniana chałupka dziadka, która stała za opłotkami, została spalona i rozebrano bóżnicę, która również stała za pierwszą linią domów, ukryta przed ludzkimi oczami. Poza tym wszystko zostało jak było. Nawet te snopki na polach... Od tamtej pory zboże skoszono wszystkiego dwa razy i to drugie zboże stało jeszcze na polu, a myśmy myśleli, że minęły wieki. A i ludzie patrzyli na nas tak, jakbyśmy wrócili z tamtego świata i dziwili się: — Jakto? To Abramkowa żyje?...

Byli to inni ludzie. Tych, którzy tu kiedyś mieszkali, już nie było. Jakbyśmy rzeczywiście wrócili nie po dwóch, ale po dwustu latach. Ludzie stali dookoła nas i przyglądali nam się, a inni wciąż przybiegali, żeby nas oglądać i wszyscy tak samo głośno się dziwili, że żyjemy, aż i my sami zaczęliśmy się dziwić i zaczęliśmy się czuć tak, jakbyśmy żyli zbyt długo.

Mama patrzyła na domy stojące dokoła i sklepiki. Wskazywała okna i wymieniała imiona. Kiedy wymieniła wszystkie sklepiki, zaczęła wskazywać okna na pierwszym piętrze wymieniając również imiona tych, którzy kiedyś na pierwszym piętrze mieszkali. Wyglądało to tak, jakby wszystkim tym domom, oknom, sklepikom nadawała imiona. Więcej niż jedno piętro domy w Dobrem nie miały.

Nie płakała ani nie rozpaczała i nikt się temu nie dziwił. Płacze się, kiedy ktoś bliski zginie. Rozpacza się, jeśli ten ktoś był naprawdę drogi. Ale nie wtedy, gdy zginie — miasto. Łatwo sobie wyobrazić mamy rozpacz, gdyby się okazało, że tylko nasza rodzina zginęła, a wszyscy inni żyją. Gdyby zginęła co druga rodzina i w tym również nasza, to też nieszczęście byłoby bardziej zrozumiałe i można by było rozpaczać. Albo gdyby z każdej rodziny ktoś został i gdyby wszyscy ci ocaleni stanęli na rynku, razem — razem mogliby płakać. Nawet gdyby nie z każdej rodziny, ale z co drugiej... Ale nie tak! To nie było zwyczajne, ludzkie nieszczęście. Nie było na człowieka miarę. A w takim wypadku człowiek nie jest w stanie naprawdę go odczuć i pojąć. W ten sposób natura bierze człowieka w obronę.

Więc mama nie rozpaczała, tylko ze łzami w oczach rzuciła się

na szyję naszemu byłemu nieprzyjacielowi, Nusenowi, jego żonie Frymce i Frydom, bo z całego Dobrego ocaleli tylko Nusen z żoną i Frydowie z synem, Izakiem, który był w moim wieku. Z okolicznych miejscowości pozostali przy życiu Słoń, Aron i Biunek z córką, również w tym wieku co ja i Izak, oraz Bolek z Rudzienka, Adek z Mińska Mazowieckiego i Frydów krewni z Mińska Mazowieckiego, Majnemerowie.

Frydowie, jak się okazało, byli cały czas w Dobrem. Przed wywiezieniem ukryli się w schowku pod swoją piekarnią i tam przetrwali. Całe dwa lata. Frydowie, tak jak inni Żydzi z Dobrego, nie zdawali sobie sprawy, dokąd Niemcy chcą ich właściwie wywieźć... Nie wiedzieli również kiedy i w jaki sposób skończy się wojna. Ale rozumując logicznie uważali, że gdy Niemcy dojdą do wniosku, że już dosyć Żydów wywieźli, to pozostałych zostawią w spokoju. Dlatego schowali się pod piekarnią. Nie przypuszczali, że będą tam siedzieć dwa lata. Jedzenie podawał im piekarczyk. Nie nowy właściciel piekarni, który wcale mógł sobie nie życzyć, żeby Frydowie przeżyli, tylko właśnie pomocnik piekarski, który dostawał od Fryda więcej niż od nowego właściciela nie tylko wtedy, gdy u Fryda pracował, ale i przez ten cały czas, gdy im przynosił jedzenie. Dostarczanie jedzenia nie było trudne dla człowieka, który co drugą noc dyżurował w piekarni sam i pod ręką zawsze miał świeży chleb. Gdyby ktoś Frydów wykrył, to też prawdopodobnie nie piekarczyk poniósłby konsekwencje tylko właściciel piekarni, na którym z kolei piekarczykowi bynajmniej nie zależało. Co drugą noc wolno było Frydom wyjść na pół godziny, wynieść nieczystości i nabrać w płuca powietrza przed ponownym zejściem pod ziemię. Brakowało im powietrza i światła. Izak przez to bardzo źle widział. Gdyby wiedzieli, że to będzie trwało dwa lata, pewno nigdy by się na to nie zdecydowali. Z jednym mieli dobrze — nigdy nie byli głodni. Jedli swój własny chleb...

Frymka i Nusen wyskoczyli z pociągu do Treblinki sami, zostawiając w nim swoje dzieci.

Przeżyli ukrywając się u chłopów. Za pieniądze. Nigdy jednak nie dawali pieniędzy z góry i nie siedzieli zbyt długo u jednego chłopca. Jeśli zapłaciło się z góry, mówili, to chłop starał się Żyda pozbyć — pozbywał się jak umiał. Również niebezpiecznie było siedzieć zbyt długo u jednego chłopca, bo chłop, który już sobie „zarobił”, również starał się pozbyć kłopotu. W ten sposób zginęła w Rudzienku siostra Frydowej z mężem. Człowiek, który ich ukrywał — sam zabił. Jeśli trafiali na porządnego chłopca, to też nie mogli długo siedzieć, bo chłop się bał. Nie Niemców się bał. Było mało prawdopodobne, żeby



Niemcy sami przyszli szukać Żydów. Bał się donosiciele — sąsiadów. Zawistnych chłopskich sąsiadów, którzy zazdrościli, gdy ktoś sobie zarobił na trzymaniu Żydów. Więc odchodząc od chłopa Nusenowie nigdy nie mówili do kogo idą. Gdy im się czasem coś w zachowaniu gospodarza zaczynało nie podobać, wykradali się w nocy sami i odchodzili bez jego wiedzy. Byli czujni, patrzyli na ręce, nikomu nie wierzyli.

— Nie wystarczyło mieć pieniądze — mówili. — Trzeba jeszcze było być kupcem i wiedzieć jak płacić. Kto tego nie umiał, ten ginął...

— Przeżyłaś na aryjskich papierach? Z dzieckiem? — dziwiła się Nusenowa — Nie bałaś się, że dziecko cię wyda?... I w jej zdziwieniu było coś nieprzyjemnego.

Wprawdzie z czterystu żydowskich rodzin ocalały tylko dwie, Frydowie i Nusenowie, ale wszystkie domy w Dobrem były zajęte i nie mieliśmy gdzie mieszkać. Swojego mieszkania w Dobrem nigdy nie mieliśmy, mieszkaliśmy w Radoszynie, a chałupka dziadka, w której mieszkaliśmy, kiedy nas z Radoszyny wysiedlono, a która nigdy się właściwie na mieszkanie nie nadała, została po epidemii tyfusu przez Niemców spalona.

W Dobrem miał jednak swoją ćwierć kamienicy mój drugi dziadek, z Nowej Wsi. Dziadek w niej nigdy nie mieszkał tylko wynajmował innym Żydom z Dobrego. Ta część kamienicy wybudowana za pieniądze dziadka składała się ze sklepu i części mieszkalnej, do której było osobne wejście od tyłu. Druga ćwierć tej samej kamienicy należała do Nusenów, a pierwsze piętro do Frydów. Była to najlepsza kamienica w Dobrem.

Tymczasem gdy nas nie było i wszyscy byli przekonani, że nie żyjemy, tę ćwierć kamienicy, która nam się teraz prawnie należała, zajęli Nusenowie, którzy nie wiadomo w jaki sposób okazali się nagle dalekimi krewnymi mojego dziadka. W ich własnej części, tam gdzie Nusen miał dawniej jatkę, mieścił się teraz posterunek milicji, a od tyłu mieszkał milicjant Czyżewski z rodziną.

Nusenowie tłumaczyli, że przecież nie mogli wiedzieć, że mama i ja żyjemy, a teraz nie ma rady, za późno.

— Przecież nie pójdziemy na milicję i nie powiemy, żeby milicja się wyniosła, bo my potrzebujemy dla ciebie mieszkanie!...

Mamie nawet przez myśl nie przeszło, żeby usuwać milicję. Tak jak wszyscy Żydzi z Dobrego czuła lęk przed wszelką nieżydowską władzą. Chodziło jej tylko o to, żeby Nusenowie ustą-

pili i oddali nam jeden pokój. Mieszkanie było dość duże i mogliśmy się wszyscy zmieścić.

— Ile nam potrzeba po tym wszystkim co przeżyliśmy?... — mówiła mama.

Ale Nusenowie nie chcieli słyszeć o tym, żebyśmy zamieszkali razem. Mama zwróciła się o interwencję do Frydów. Frydowie twierdzili że gdy Nusenowie zjawili się w Dobrem, mogli zażądać, żeby wpuszczono ich do własnego mieszkania, ale oni wcale nie zażądali. Przeciwnie, woleli wprowadzić się do tej części domu, która należała do mojego dziadka, podając się za jego jedynych żyjących krewnych, by w ten sposób wejść w jej posiadanie, a za swoje mieszkanie pobierać od Czyżewskich czynsz, lub nawet całą tamtą ćwierć kamienicy sprzedać.

Gdy interwencja Frydów nie pomogła, mama zwróciła się do wielkiego Władka, który był najstarszym rangą milicjantem. Do żadnego innego nie-Żyda nigdy by się w takiej sprawie nie zwróciła, ale wiedziała, że Władkowi i Nusenowie i inni Żydzi wiele zawdzięczali w czasie okupacji. Zresztą do niego wszyscy w Dobrem mieli zaufanie. Władek wysłuchał mamę a potem na osobności porozmawiał z Nusenem radząc, żeby lepiej dobrowolnie wpuścił mamę do mieszkania, bo może grozić mu sprawa o fałszywe zeznanie i podszycie się pod cudzy spadek. Nusenowie zgodzili się odstąpić nam pokój od podwórza.

Ludzie twierdzili, że ktoś wydał Niemcom ziemiankę, w której ukrywała się rodzina mamy. Może chłop jakiś, a może gajowy. Było to bardzo prawdopodobne, bo Niemcy niechętnie wchodzili do lasu i na pewno nie poszliby tylko po to, żeby szukać Żydów, to by było dla nich za duże ryzyko dla zbyt mało ważnego powodu. Musieli dokładnie wiedzieć — a to znaczy, że ktoś im doniósł. Nusenowie i Frydowie uważali, że mama powinna zbadać tę sprawę. Mama jednak nie reagowała. Co za różnica, jak to się stało i co za różnica, kto doniósł? Przecież w rzeczywistości nie wierzyła, że jej rodzice, siostry i brat mogli przeżyć. Tylu innych nie mogło! I w jaki sposób tu wskazać winnego? I jak udowodnić winę? Nie było żadnych świadków. W takich sprawach nigdy nie było świadków. Zabili ich Niemcy, mówiła sobie, więc kto jeszcze może być winien? Mówiła tak — na swoje własne usprawiedliwienie.

Inaczej było ze sprawą ojca. Ojca nie zabili Niemcy. Nie można też było powiedzieć, że nie miał szans przetrwać. Przecież tak długo sobie radził. Zabrakło mu tylko czterech miesięcy. Był mądry, sprytny, znał okolicę i miał pieniądze. Niemcy nigdy

by go nie dostali. Na to nie było już żadnego usprawiedliwienia. Mama mogła nie wierzyć, że ktokolwiek z rodziny się uratuje, ale zawsze miała nadzieję, że ojciec. Poszła do Radoszyny.

Czworaki, w których kiedyś mieszkaliśmy, były spalone. Spalił się również dwór, śpichrze i stodoły. Została obora, która była murowana. W oborze mieszkali Kurowscy. Przestraszyli się, gdy zobaczyli mamę.

— To Abramkowa żyje?... — Mama nie lubiła tego pytania.

Kurowski zaprowadził ją na miejsce, gdzie ojciec był zakopany. Było to bardzo blisko, na skraju pola. Ale Kurowscy twierdzili, że ani oni ani nikt w Radoszynie nie wie, kto „to zrobił”.

— A do kogo on wtedy przyszedł? — spytała mama. — Przecież musiał tu do kogoś przyjść, jeśli go właśnie tu... jeśli go tu właśnie znalezione...

— My nie wiemy, do kogo przyszedł — powiedział Kurowski.

— Mógł przyjść tylko do dziedzica, u którego miał różne rzeczy, albo do Kurowskiego, u którego miał tysiąc złotych... — powiedziała mama.

— Dziewięćset a nie tysiąc! — poprawiła Kurowska.

— Niech będzie dziewięćset. Ale rzeczy i pieniądze miał tylko u dziedzica i u Kurowskiego, bo tylko do dziedzica i do Kurowskiego miał zaufanie. Co, nie tak było? Nie miał u Kurowskiego pieniędzy?...

— Owszem, miał. Ale odebrał!...

— Wszystkiego nie odebrał.

— Wszystko odebrał! — zawołała Kurowska. — Wszyscyutko co tylko było!...

— To niemożliwe. Ja cały czas dostawałam od niego listy, w których pisał, że wciąż ma u Kurowskiego pieniądze, bo specjalnie je dla mnie zostawił...

— Eee, i co on tam zostawił... — wzruszył ramionami Kurowski.

— Nic nie zostawił! — poprawiła natychmiast Kurowska. — Jak mógł zostawić, kiedy co i raz przychodził i brał?...

— A więc przychodził?

— No, niby przychodził...

— A wtedy? Nie przyszedł? Nie wstąpił nawet? Dlaczego? Czy się Kurowskiego bał?...

— Ależ broń Boże! Dlaczego? — zawołała Kurowska. — Dlaczego miałyby się bać? Przecież nikt by mu tu żadnej krzywdy nie zrobił! Jakże-by, miły Boże!... Pewno u dziedzica był, u Dziurwicza...

— Tak jest — potwierdził Kurowski. — Mógł mieć do dziedzica interes.

— Mógł nawet nie chcieć, żeby go kto inny widział... — dodała Kurowska.

— Wiem, że był u dziedzica. Dziurewicz sam mi powiedział, że u niego był — skłamała mama.

— A no, właśnie!...

— Ale powiedział mi też, że potem wyszedł od niego i poszedł do Kurowskiego...

— Jaktó?...

— A tak, bo potrzeba mu było pieniędzy, a u dziedzica już więcej pieniędzy nie miał.

— Kiedy to trudno człowiekowi tak wszystko pamiętać — powiedział Kurowski. — Może tam i był... Ale co do pieniędzy, to zabrał tak jak moja kobieta mówi! Wszystko co do grosza, wszystko co miał!...

— A tak, tak jak mówimy! — potwierdziła raz jeszcze Kurowska. — Wszystko zabrał! A jak przyszedł to i przy ogniu posiedział i ogrzał się, a i chleba to mu też nikt nie żałował. A czasem to i na drogę wziął!... I nikt mu nic złego nie zrobił, Pan Bóg niech będzie świadkiem! Nieszczęśliwy człowiek, mój Boże... Rano ludzie przybiegli i mówią, że Abramek leży zabity... Inni to i poszli oglądać, ale ja nie mogłam... Mój Boże, siekiera... Dobrze, że choć Abramkowa żyje i że dziecko uratowała...

— U kogo on się wtedy ukrywał? — zapytała mama.

— Nie wiadomo u kogo. Ale nie tutaj, nie w Radoszynie. Mówią, że w Jacewku u kogoś, ale u kogo, tego nikt nie wie...

— A gdzie się wyprowadził Dziurewicz?

— Do Mińska — odpowiedział Kurowski.

— Jaktó? — zdziwiła się Kurowska. — Przecież Abramkowa mówiła, że u niego była?...

— A tak, rzeczywiście... Zapomniałam.

— A może Abramkowa chciałaby zostać? Może na noc? Może nie ma gdzie spać?

— O nie, wracam do Dobrego.

— A może coś zje? Pewno głodna z drogi?

— Nie, nie! Nie jestem ani trochę głodna...

— To może sobie choć trochę odpocznie? My teraz w oborze mieszkamy, ale się wysprzątało, wymyło, trochę przebudowało...

— Może innym razem. Teraz już sobie pójdę.

— I sama tak chodzi? A nie boi się? Nie daj Boże jakiego nieszczęścia... Czasy są takie niedobre!... Niech lepiej na siebie uważa!...

Następnego dnia mama pojechała do Mińska. Dziurewiczowa

rozpłakała się, gdy mamę zobaczyła. Dziurewicz miał posępną minę.

Owszem, ojciec przychodził do dworu przez jakiś czas jeszcze, po tym jak mama otrzymała aryjską Kennkartę i wyjechała do Warszawy. Dostawał wszystko, czego tylko potrzebował i prawie wszystko odebrał, a czego nie zdążył odebrać, to gdy nadszedł front, spaliło się razem z dworem, albo jeszcze przedtem partyzanci zabrali.

— Pod koniec to już rzadko przychodził, bo bał się. We dworze jak nie Niemcy to partyzanci, każdy kto tylko chciał... A partyzantów różnych człowiek nie mniej bał się niż Niemców...

— Ale kto to zrobił? — pytała mama. — Dlaczego? Dla tych paru marnych groszy i rzeczy, które u ludzi miał? Tak długo się męczył, tak długo sobie radził i tak niewiele brakowało, żeby przeżył... Kto to mógł zrobić? Komu zależało?...

— Lepiej się nie dowiadywać... — powiedział Dziurewicz. — Co to teraz pomoże? Nic. A czasy są jeszcze niepewne... Tylu ludzi zginęło i sam Bóg nie wie dlaczego... Więc po co się, kobieto, narażać?

— A sprawiedliwość? Czy sprawiedliwości nie ma? Przecież jakaś sprawiedliwość musi być? Chyba należy się ona mnie i mojemu dziecku? Czy po to przeżyliśmy?...

— Dobrze, że sama żyjesz i że dziecko uratowałaś. To już jest jakaś sprawiedliwość. Przez to i jemu lżej teraz w ziemi... Nieraz mówił, że nie wie czy sam przeżyje, ale o ciebie mu chodzi i o dziecko. Pamiętaj o tym. Myśl lepiej o sobie i o dziecku. I o niczym więcej!...

Dziurewiczowa wyjęła z szafy mamy przedwojenne palto, oddała jej również naszą maszynę do szycia, która stała w ich mieszkaniu.

Mama przywiozła maszynę do Dobrego. Postawiła ją w kącie. Przyniosła krzesło, okryła się swoim przedwojennym paltem, oparła głowę o żelazny blat i dopiero wtedy wybuchnęła prawdziwym, głośnym płaczem.

Aron, Biemek i Słoń przesiedzieli ostatni okres w Drupiu u Sobótków razem z Bolkiem z Rudzienka, Adkiem z Mińska i dziesięcioma zbiegłymi z obozu dla jeńców Rosjanami. Sobótkowie mieli w Drupiu młyn nad urwiskiem. W urwisku tym wyłobiony był duży, solidny schron, a gęste krzewy zasłaniały wejście do schronu, które było od strony rzeki. Sobótkowie im gotowali, a gdy brakowało jedzenia — nie łatwo było wyżywić tylu chłopów — posyłali ich nocą do sąsiednich wsi, albo jeszcze lepiej do dworów, gdzie jako partyzanci „rekwirowali” mąkę, kaszę, wódkę, słoninę i zaopatrywali Sobótków. Sobótkowie już nawet

nie prowadzili swojego młyna. Najtrudniej było przetrwać ostatnie tygodnie, kiedy zbliżał się front. SS-mani biegali po okolicy i weszli jak psy, aż gęsto od nich było. Żandarmi zagłądali do każdej obory i stodoły szukając bydła i zboża. Chłopi wprowadzali bydło do lasu. Żandarmi i SS-mani udawali się do lasu i robili obławy na bydło. Przy tej okazji nie jedno nieszczęście spadło na partyzantów, zbiegłych Rosjan i ostatnich już Żydów. Chłopi za żadne skarby nie chcieli ukrywać nikogo w swoich zagrodach. W ten sposób zupełnie nie było gdzie się schronić ani na wsi ani w lesie i dużo ludzi wtedy, już pod sam koniec, zginęło.

Gdyby nie Sobótkowie, Aron, Biurek i Słoń by nie przetrwali. Przez ostatnie kilka dni nie wolno im było nawet wychylić się ze schronu, załatwiali się na miejscu, pod siebie. Za to gdy wreszcie weszli Rosjanie, u Sobótków odbyła się pijatyka, jakiej nikt przedtem w Drupiu nie widział. Sobótkowie wypchnęli przed dom beczkę z ciepłym jeszcze, nieprzeczyszczonym samogonem. Pili do nieprzytomności Polacy, Rosjanie, Żydzi. Najwięcej Żydzi. Potem przyszło NKWD i odebrało im broń. Ale nic nie mieli ani do Sobótków ani do Żydów, zabrali tylko pijanych ze szczęścia, zbiegłych z niemieckich obozów jenieckich Rosjan. Okazało się, że tych NKWD najbardziej nie lubiło.

Aron i Słoń pozostali u Sobótków. Słoń żenił się bowiem z Sobótkówną. Aron miał się ożenić z dziewczyną, która go doglądała, kiedy był ranny po ucieczce z obławy i zaszła od tego w ciążę, ale lepiej się czuł u Sobótków i pozostał razem ze Słoniem. Biurek zaręczony był z córką Śliwy i siedział u niego w Makówcu. Adek i Bolek byli teraz w Mińsku. Adek miał nadzieję, że może zgłosi się ktoś z jego rodziny, a Bolek, który miał w okolicy osobiste porachunki, wstąpił do milicji, żeby dostać z powrotem broń. Aron, Biurek i Słoń pokłócili się z nim. Właśnie z tego powodu. Uważali, że Bolek może sprowadzić na nich nowe nieszczęście. A oni mieli już dosyć. Wiedzieli dobrze, że z ich bliskich nikt się nie zgłosi. Byli sami. Postanowili zacząć na nowo. Na razie przeważnie siedzieli u Sobótków i pili.

Kiedy Aron, Biurek i Słoń się dowiedzieli, że żyjemy, przyszli do Dobrego, żeby się z nami zobaczyć.

Wszyscy trzej nosili rosyjskie fufajki. Nawet ośmioletnia córka Biurka z ogoloną do skóry głową ubrana była w fufajkę, która jej zwisała do ziemi. Ale poza tym wyglądali dobrze i, z wyjątkiem Arona, mieli raczej zadowolone miny. Ich przyszli teściowie dali już na zapowiedzi i zapraszali na wesele.

Wydając swoje dziewczyny za Biurka, Arona i Słonia trzy chrześcijańskie, chłopskie rodziny nie tylko spełniały „dobry uczynek”, że Aron, Biurek i Słoń musieli pójść do kościoła i się

ochrzcić, ale miały i tę korzyść, że nie musiały dawać ani morgi posagu. Przeciwnie, na przykład Biemek, który brał córkę Sliwy — o niecałe dziesięć lat starszą od jego własnej córki — dawał Sliwie kolonię w Makówcu z dużym i prawie nowym, przed samą wojną wybudowanym domem. Biemek, który stracił ośmioro braci i siostr, był teraz jedynym spadkobiercą majątków rodzinnych w Makówcu, Rembertowie, Radzyminie i Starej Miłosnej. Aron i Słoń wprawdzie żadnych majątków do odebrania nie mieli, ale ich przyszli krewni uważali, że wychodząc za nich dziewczyny i tak robią dobrą partię, bo Żydzi — nawet ochrzczeni — pozostają jednak Żydami, to znaczy nie przepijają, nie biją żon i nawet bez ziemi zawsze potrafią zarobić na utrzymanie.

Chłopi i ludzie z Dobrego, byli do Biemka, Arona i Słonia przychylnie usposobieni. Oceniali ich krok jako logiczną konsekwencję tego co się stało. Niektórzy uśmiechali się ironicznie, ale w gruncie rzeczy czuli satysfakcję.

Również nikt z Żydów nie miał im właściwie za złe, że się zenią z chrześcijankami. Z kim mieli się zenić? Przecież nie było z kim. Z tymi dziewczynami sypiali wtedy, kiedy innych kobiet nie mieli i kiedy żadne zastanawianie się nie miało sensu, bo wtedy każde przespanie się z dziewczyną mogło być ostatnie. Mieli zobowiązania wobec Sliwy, Sobótków i dziewczyny, która doglądała rannego Arona. To, że się musieli ochrzcić było przykre. Ale w końcu jakie znaczenie to miało po tym wszystkim, co się już stało? Nie brał im tego za złe nawet Fryd, który jedyny ze wszystkich powrócił do koszernego jedzenia i wkładał czapkę siadając do stołu. Tylko zaproszenia na wesele nie przyjął.

— Dlaczego nie? — śmiał się Słoń. — Będzie to prawdziwe żydowskie wesele! Że ślub w kościele?... Jak Dobrze Dobrem nikt tyłu Żydów w kościele nie widział!...

Biemek się nie śmiał, a Aron był wprost smutny. Aron nie przypuszczał, że żyjemy i że jeszcze spotka się z mamą. Był młodszym od mamy, ale zawsze chciał się z nią ożenić.

Aron, Biemek i Słoń uważali, że ojciec przeżyłby, gdyby słucał ich i trzymał się z nimi. Ale ojciec chodził zawsze swoimi drogami. Wiele razy mówili mu, żeby nie chodził do Radoszyny, ale był uparty.

— Za bardzo wierzył swojemu dziedzicowi oraz innym, którym dawał pieniądze.

— Tak — przyznawała mama — on zawsze wierzył ludziom, którym płacił.

Mama była jednak przeciwna podejrzaniom pod adresem Dziurewicza. Dziurewicz nie kazałby zabić człowieka dla kilku marnych przedmiotów. Tym bardziej ojca. Dziurewicz nie był dla nikogo ani miły ani zbytnio serdeczny, ale ojca naprawdę lubił. Może nawet bardziej niż swoich chrześcijan.

O Kurowskich mama nie wiedziała co myśleć. Pamiętała tę noc, gdy przekradła się do nich z Warszawy, żeby jej dali trochę pieniędzy, które ojciec zostawił, a oni jej kazali siedzieć w alkierzu i czekać, a sami w drugiej izbie tak długo się szeptem naradzali, aż mama przestraszyła się i uciekła.

Aron twierdził, że musiał to zrobić ktoś z Radoszyny. Biemek, którego dwaj bracia zginęli u dziedzica Podorewskiego, podejrzawał Dziurewicza. Tylko Słoń był innego zdania. Jeśli ojciec ukrywał się nie w Radoszynie tylko w Jacewku, to mógł to zrobić ktoś z Jacewka. Ten, u kogo się ukrywał. Tak samo jak zrobił Zduńczyk, u którego ukrywała się siostra i szwagier Frydowej, w Rudzienku. Ale Aron, Biemek i Słoń odradzali oskarżania kogokolwiek. Jeśli mama oskarży niewinnego, to będzie źle, a jeśli winnego, to może być — jeszcze gorzej. Uważali, że mama powinna przede wszystkim jak najszybciej wyjechać z Dobrego. Niezależnie od tego, czy ma zamiar kogokolwiek oskarżyć, czy nie. Ci, którzy są winni mogą być niebezpieczni. Oni trzej, sprzymierzeni ze swoimi nowymi rodzinami czuli się pewniej, ale i oni właściwie tylko czekają, żeby front poszedł dalej i żeby również mogli wyjechać.

U kogo się ojciec ukrywał w Jacewku tego Słoń, Biemek i Aron nie wiedzieli. Albo nie chcieli powiedzieć. Ale był tylko jeden człowiek, u którego ojciec mógł się ukrywać w Jacewku. Nazywał się Wojtyński.

Wojtyński nie był ojca przyjacielem. Nieraz przychodził i mówił: „Po co ci takie drogie palto? Hitler i tak ci zabierze, oddaj lepiej mnie...” Kiedy wysiedlano nas z Radoszyny, przyszedł, żeby ojciec zostawił u niego pieniądze i wszystkie lepsze rzeczy. „I tak zginiesz, to po co ci? Przypadnie i nikt nie będzie miał... Nie lepiej, żebyś u mnie zostawił? Jak będziesz żył, to oddam...” Wojtyński był bardzo zły, że ojciec mu nic nie zostawił. Przyszedł w nocy i rąbnął siekierą w okienicę, aż wszystkie szyby wyleciały.

A jednak zanim rozstaliśmy się w lesie, ojciec powiedział, że w ostateczności pójdzie na zimę do Wojtyńskiego, bo Wojtyński najmniej się boi, a za to jest najbardziej chciwy na pieniądze i wystarczy mu dobrze zapłacić. Więc pewno wtedy, gdy nie miał już gdzie pójść, poszedł do Wojtyńskiego. Być może po jakimś czasie Wojtyński zażądał więcej pieniędzy. Ojciec musiał pójść



do Radoszyny. Wojtyński poszedł za nim. Zaczekał, a gdy ojciec wracał... A może nawet czekał u siebie w domu. Potem mógł położyć na furę, przywieźć pod Radoszynę, żeby nie było na niego, i zrzucić. Śpiewak, do którego należy tamto pole, opowiadał ludziom, że słyszał jakby ktoś w nocy na polu coś zrzucił. Śpiewak i inni chłopci w Radoszynie byli przekonani, że zrobił to ktoś, kto ojca ukrywał i bał się, że to się wyda.

Może rzeczywiście Wojtyński nie zrobił tego z nienawiści, ale dlatego, że jednak bał się. Nie Niemców, ale ludzi, u których ojciec miał pieniądze i wartościowe rzeczy. Mógł sobie pomyśleć, że nie darują mu tego, że ojca pieniądze przechodzą od nich do niego. Było to na cztery miesiące przed przyjściem Rosjan, mógł się bać, że w ogóle nie darują mu, że przez niego ojciec naprawdę przeżyje — w co przedtem nikt przecież nie wierzył — a potem przyjdzie odebrać swoje. Mogli nawet Wojtyńskiemu zagrozić. Nie musieliby się zbytnio trudzić, posłaliby mu Niemców i już.

Mama nie wiedziała co czynić. Pamiętała ostrzeżenie Biumka, Arona i Słonia.

Zanim mama cokolwiek postanowiła, ktoś zastrzelił w Jadowie dziedzica Podorewskiego z Piwek. Tego samego, który zamknął w piwnicy Abła i Manesa, Biumka braci, gdy przyszli go prosić o żywność, a potem zadzwonił do Niemców. Znalezione go z przestrzeloną głową w jego mieszkaniu w Jadowie, dokąd musiał się wyprowadzić z Piwek.

Strzelono do niego przez okno i nikt nie wiedział kto, ale już następnej nocy przyszło z dziesięciu uzbrojonych ludzi do Drupia do Sobótków i szukali Biumka, Arona i Słonia. Pytali również o Bolka. Biumek na szczęście nocował w Makówcu u Śliwy, a Aron i Słoń, którym w izbie za bardzo dokuczały wszy, spali w stodole. Sen mieli jednak z przyzwyczajenia bardzo czujny. Gdy usłyszeli co się dzieje, uchylili tylną wierzęgę stodoły i wybiegli w pole.

Nie wrócili więcej do Drupia. Pojechali do Mińska Mazowieckiego, do Bolka i opowiedzieli, co się stało.

Bolek poszedł do NKWD, poprosił kilku milicjantów z automatami i samochód. Milicjanci jeździli z Bolkiem po okolicy i do każdego, kto próbował uciekać, strzelali. Jeździli w biały dzień. Bolek mówił gdzie jechać i pokazywał drogę. Zastrzelili podczas ucieczki Zduńczyka i Tomaszkiewicza. Tomaszkiewicza zastrzelił sam Bolek z zemsty za swoją matkę. Ludzie mówili, że z zimną krwią wystrzelał w niego cały magazynek.

Aron i Słoń przerazili się.

— Co ty robisz?! — wołali do Bolka. — Przecież jesteś Żydem! Tobie nie wolno! Nie rozumiesz?! Oni ci tego nigdy nie darują! Nie znasz ich? Nawet, gdybyś strzelał do ich osobistego wroga, nie darują ci! Dlatego, że ty jesteś Żydem, a tamten jest swój... A będzie nie tylko na ciebie, ale na wszystkich Żydów!...

— Oni mi nie darują? A ja mam darować, tak? Mam darować moją matkę, Ablę, Manesę, obławę?! Wyście już darowali!...

— A co pomoże zemsta? Co martwym pomoże zemsta? Może przynieść tylko nowe nieszczęście na żywych...

— A tak to was zostawia w spokoju? Nie przyszli do Drupia? Przecież przyszli! Więc co wy mówicie za rzeczy? Przecież sami w to nie wierzycie i wiecie tak samo jak ja, że oni się teraz boją tego, co zrobili. Boją się więzienia, NKWD... Będą chcieli zabić każdego, kto ich może oskarżyć. Więc na co chcecie czekać? Aż was dostaną i zarzną?...

— Są jeszcze inne sposoby. Można ich łąpać, aresztować, sądzić. Niech gniją we więzieniach...

— Do więzienia się wsadza i z więzienia się wypuszcza... Więzienie to nie jest kara! — odpowiedział Bolek.

Bolek był synem Ałter-Hilla. Mieli w Rudzienku jatkę. Pewnego razu przyszedł do nich Volksdeutsch i chciał zabrać mięso. Bolek i jego młodszy brat wyszli zza lady. Co taki Volksdeutsch będzie im mięso brał?

Słukli go i wyrzucili ze sklepu. Volksdeutsch zawiadomił żandarmerię. Dwóch żandarmów przyjechało motocyklami z Węgrowa. Bolek z bratem ukryli się u sąsiadów w piwnicy, tylko Ałter-Hill został w jatce. Żandarmi zbili Ałter-Hilla szpicrutami, a potem kazali mu uciekać. „Synowie uciekli to i ty pokaż, że potrafisz!...” Ałter-Hill wybiegł ze sklepu, a żandarm strzelił za nim. Ale strzelił niecelnie. Ałter-Hill leżał na rynku i konał, i nikomu nie wolno było do niego podejść.

Bolek i jego brat musieli z Rudzienka uciekać, została tylko matka, żeby Ałter-Hilla pochować. Rozchorowała się jednak i trzeba ją było zabrać do szpitala do Węgrowa, gdzie się jeszcze zaraziła tyfusem. Uciekła ze szpitala, z gorączką. Poszła szukać synów. Doszła aż do Mińska Mazowieckiego. Pieszko, bo nikt jej nie chciał zabrać na furę. Zanim jednak doszła, wywieziono już z Mińska Żydów. Bolek i jego brat, którzy siedzieli w Mińsku u krewnych, nie chcieli dać się wywieźć. Gdy prowadzono ich razem z innymi do pociągu, rzucili się do ucieczki. Brat Bolka został trafiony w plecy i zginął na miejscu. Bolkowi udało się zbiec w ogrody.

Matkę, która postradała zmysły, widywano w okolicy dość długo. W krzakach sypiała, liśćmi się przykrywała. Czasem jak

szła przez wieś, to albo jej chleba rzucono, albo poszczuto psami, ale poza tym nikt jej nic złego nie robił. Była jednak obłąkana, chodziła po świecie w biały dzień, musiała wpaść w ręce żandarma.

Tomaszkiewicz jej ani nie zabił, ani nie wydał i właściwie nie był winien jej śmierci. Tomasziewicz przejeżdżał furą, żandarm zatrzymał go i kazał mu odwieźć Żydówkę do Węgrowa. Była to późna jesień, Tomasziewiczowi bardzo nie chciało się jechać tyle kilometrów po słońcu i żał mu było konia. Poprosił żandarma, żeby zastrzelił Żydówkę na miejscu, w pobliskim lesie, i sam zaofiarował się ją zakopać. Jeszcze podobno postawił wódkę żandarmowi.

Bolek wiedział, że jeśli Tomasziewiczza aresztują, to mu nic nie zrobią. Dlatego zajechali w sam obiad, nie nad ranem, nie w nocy. Nawet nie wtargnęli do środka, tylko zapukali. „O co chodzi?” zapytała Tomasziewiczowa zatrzymując ich w sieni. „Mamy rozkaz zaarrestować obywatela Tomasziewiczza Stefana”, odpowiedział plutonowy. Tomasziewicz gdy to usłyszał, skoczył w okno i do ogrodu. A tam właśnie, oparty o drzewo, czekał na niego Bolek z ręką na spuście automatu.

Mówiono, że również Bolek zastrzelił Podorewskiego. Ale później okazało się, że to nieprawda. Zastrzelił go zięć, który nie chciał dopuścić, ażeby Podorewski był sądzony za współpracę z Niemcami.

Założyliśmy nowe, mocne okiennice, a drzwi na noc zamykaliśmy na żelazne sztaby i czekaliśmy tylko na to, żeby front wreszcie poszedł naprzód, żebyśmy mogli wyjechać.

Front jednak nie posuwał się. Przeciwnie, Rosjanie zaczęli wracać z frontu na odpoczynek. W Dobrem zakwaterowano garnizon. Miało to tę dobrą stronę, że wszystko w okolicy się uspokoiło i poczuliśmy się znowu bezpieczniej.

Fryd prowadził swoją piekarnię zarabiając dodatkowo na zamówieniach dla rosyjskiego wojska. Nusen odebrał od kogoś kamaszniczą maszynę po swoim bracie i z rzeźnika stał się kamasznikiem. Szył cholewy dla wiejskich szewców i chłopów, od których przyjmował w zapłacie nabiał, drób i samogon, a za samogon dostawał od Rosjan skórę. Mama przyjmowała sukienki do przeróbki i reperacji, albo jeździła z innymi kobietami do Lublina po drodze dla Fryda i dla chłopów przybywających do Dobrego w każdy poniedziałek na targ. Ja zacząłem chodzić do szkoły. Chrzest Biumka, Arona i Słonia odbył się po cichu, bez zbytecznych świadków. Za jedną bytnością w kościele, zaraz po chrzcie odbył się ślub Arona, którego narzeczona nie mogła już dłużej czekać. Natomiast ślub Biumka i Słonia został odłożony na Boże Narodzenie.

Trzej rosyjscy oficerowie zostali zakwaterowani w naszym domu. Na górze u Frydów lejtnanci, Etkin i Szejn, a u nas, ściślej u Nusenów, kapitan Gopin.

Gopin był już niemłody, łysy, rozumiał po polsku i lubił śpiewać polskie piosenki. Miał pogodne usposobienie, ale milkł zawsze, gdy zobaczył zielony otok NKWD. W dobrym humorze bywał również starszy lejtnant Etkin, który służył w kwatermistrzostwie i przynosił do domu wódkę i konserwy. Tylko lejtnant Szejn był milczący i nigdy się nawet nie uśmiechnął. Był on szczupły, wysoki, miał starannie dopasowany szynel z angielskiego sukna. Na uroczystych apelach nosił białe rękawiczki i wychodził w poczcie sztandarowym, Frydowa i mama wodziły za nim oczami i starały się odgadywać jego życzenia, ale Szejn nigdy niczego nie potrzebował. Zakwaterowano ich u nas nie tylko dlatego, że była to najlepsza kamienica w Dobrem, ale i dlatego, że byliśmy Żydami. Rosyjscy oficerowie o wiele lepiej się czuli u Żydów, a i my, choć w naszych mieszkaniach zrobiło się ciasno, czuliśmy się lepiej z nimi niż sami.

Oficerowie przynosili puszki z mięsem i konserwami rybnymi, cukier w kostkach, herbatę, a nawet amerykańską czekoladę. Frydowa, Nusenowa i mama gotowały im za to pierogi, rosół z makaronem i fasolą, a czasem rybę po żydowsku. Przysiadły z boku i przyglądały się jak nisko pochyleni nad talerzami Rosjanie z apetytem i wojskowym pośpiechem jedli owe żydowskie potrawy i opowiadały im jak to oszukiwaliśmy Niemców, wbrew którym żyjemy i jak bardzośmy na nich, Rosjan, czekali.

— Bicie Niemców, nie oszczędzajcie! — mówiły. — Wybijcie ich do ostatniego za to wszystko, co oni z nami robili... Pamiętajcie, nie litujcie się, święta ziemia nie powinna ich nosić!...

Wieczorem, gdy Etkin przynosił wódkę, Frymka, Frydowa i mama przyrządzały zakąskę z kiełbasy i kiszonych ogórków. Rosjanie sprowadzali kolegów kwaterujących w okolicy i żołnierza z harmonią. Nalegali, żeby wszyscy, to znaczy Nusenowie, Frydowie i mama jedli i pili razem z nimi. Jeśli ktoś nie chciał, Rosjanie się obrażali. Więc wszyscy jedli i pili.

Żołnierz grał na harmonii to skoczne to rzewne melodie, a oficerowie zawodzili smętnie przygaszonymi głosami, to znów podrywali się, bili rękami po udach i po cholewach i miotali się po podłodze w desperackich gestach kozaka.

Gdy się zmęczyli, żądali, żeby im zaśpiewać żydowskie piosenki i zatańczyć po żydowsku. Wtedy wychodziła na środek Frymka, która była najbardziej muzykalna i знаła najwięcej żydowskich melodii oraz najwięcej z kobiet piła. Frymka tańczyła spoglądając sobie pod nogi, przeginając się w pasie, podrzucając

ramiona i głowę i strzelając palcami. Wszyscy podchwytywali rytm, razem z Frymką strzelali z palców lub przyklaskiwali.

Pewnego razu rozbawiona i pijana Frymka wezwała Rosjan, żeby jej partnerowali. Rosjanie nie pozwolili się prosić. Wyskoczyli na środek pokoju w swoich zielonych rubaszkach z przypasanymi naganami i śmiejąc się zaczęli naśladować pełne religijnej pasji i upojenia, namiętne, chasydzkie gesty.

Fryd, Frydowa, Nusen i mama opuścili głowy. Frymka zauważyła to, oprzytomniała, chwyciła się dłonią za usta i zaczęła głośno płakać.

Często tak się kończyło, nawet jeśli nikt z Rosjan nie próbował naśladować zapatrzonych w swego Boga chasydów. Wystarczyło jedno słowo, jeden gest, jedna nuta, niebacznie wtrącone imię. Wystarczyło, że pod wpływem melodii czyjś wzrok się zatrzymał, oddalił, spotkał się z czymś wzrokiem — i już było po całej zabawie. Melodia załamywała się w gardłach, opadały ramiona i zamiast rytmu tańca wstrząsało je łkanie.

Nusen natychmiast wyprowadzał Frymkę do ich pokoju, Frydowie również udawali się do siebie na górę, Rosjanie wkładali czapki i wychodzili, a mama nie miała nawet przed kim się wyplakać.

Czasem dochodziło do kłótni pomiędzy mamą a Frymką, która po stracie dzieci stała się zawistna i zła. Kłótnia mogła zacząć się z byle jakiego powodu, ale zawsze się tak samo kończyła.

Wszyscy uważali, że Frymka nie powinna była wyskoczyć z pociągu bez dzieci. Choć nikt jej, oczywiście, tego nie mówił. Frymka mówiła że chciała ratować dzieci. I wszyscy jej wierzyli. „Kto nie chce ratować swoich dzieci?” „Jeśli ich nie ratowała, to widocznie nie mogła”. „Ale mimo wszystko...”

Frymka opowiadała, że w pociągu, do którego ich wepchnięto był taki okropny tłok, że ludzie leżeli jeden na drugim i wprost się dusili, więc kiedy wreszcie udało się wybić zakratowane okienko, wszyscy chcieli się do niego dostać i dzieci zostały z tyłu. Nusen i Frymka wołali, żeby im podano dzieci, ale nikt ich nie słuchał. Ludzie walczyli między sobą o to, żeby się jak najprędzej przedostać. Otwór był taki mały, że nie można się było precyzować o własnych siłach, więc jeden drugiego wypychał, ażeby zdobyć drogę dla siebie. Trzeba było się bardzo spieszyć, żeby zdążyć zanim strażnicy zaczną strzelać. Ludzie krzyczeli przynaglając do pośpiechu. Frymce i Nusenowi obiecywano wyrzucić dzieci jak tylko sami wyskoczą. Wyskoczyli. Co mieli robić? Strażnicy już

zaczynali strzelać. Nie wiedzieli, że więcej już nie zobaczą swoich dzieci. Dzięki temu, że wyskoczyli — żyją.

— Rzeczywiście — potwierdziła raz pojednawczo mama. — Co przyszłoby komu z tego, gdybyś nie wyskoczyła? Wszyscy byście zginęli. I co by to pomogło dzieciom?

— A nawet, gdybyście z dziećmi wyskoczyli — mówiła Frydowa — gdziebyś się mogła z dwojgiem małych dzieci schować? Żaden chłop by was nie przyjął. W kryjówce by nie wytrzymały, zaczęłyby płakać...

Frymka rozumiała, że Frydowej szło o to, że jej Izak, choć wcale nie starszy od dzieci Frymki, siedział w kryjówce dwa lata i nie płakał.

— Dziewczynkę można było dać do klasztoru — zauważyła mama. — Z chłopcem byłoby trudniej, bo obrzezany, ale dziewczynkę by wzięli...

— Nie dałabym! — zawołała Frymka. — Żeby mi wychowali na przechrztę i wroga?!

— Ale przecież by żyło... — powiedziała mama.

— Żyłoby, żyło! Co ty się tak mądrzysz? Czy sama nie zostawiłaś swojego młodszego w Stanisławowie, gdy pobiegłaś schować się w siano?!... Czy myślisz, że ja tego nie wiem? Że ludzie nie wiedzą?!...

— Ja go zostawiłam? Jak możesz tak mówić?! Ja?... Ja go schowałam u chrześcijanki! Dziecko było niepodobne, niebieskie oczka, włoski blond, zupełnie niepodobne do żydowskiego. Nikt by się nawet nie domyślił i nie zauważył, gdyby ktoś nie oskarżył... Miał wszystkiego półtora roczku, co ja mogłam zrobić? Jak mogłam schować się z nim? W sianie?... Nikt by mnie nie ukrył z takim małym dzieckiem, nikt! To byłaby pewna zguba. Miałam dać się wziąć razem z nim? O drugim, starszym dziecku też musiałam myśleć. I, dzięki Bogu, je mam!...

— Tego przechrztę, który co wieczór klęka przy łóżku i modli się?...

— To co, że się modli? Modlenie się jeszcze nikomu nie zaszkodziło...

— Do Pana Jezusa?...

— Jest jeszcze mały, dla niego to wszystko jedno do kogo się modli...

— A ja tego nie chciałam! Też mogłam mieć aryjskie papiery, gdybym chciała! Jeszcze wcześniej niż ty!...

— Ty? Przecież jesteś za bardzo podobna...

— Kto, ja jestem podobna? Patrzcie ją, ja jestem podobna, a ona nie! Bo ja to nie mogłam sobie utlenić włosów!...

— Co ty wiesz? Czy ty możesz wiedzieć, co ja przeżyłam?

Czy ty wiesz, co to jest życie na aryjskich papierach? Kiedy masz papiery, a nie masz się gdzie podziać. Ani nie masz za co żyć. Ani domu, ani rodziny, nikogo w zupełnie obcym świecie... Nie masz nawet prawdziwego adresu. A niech cię zatrzymają i sprawdzą. Albo niech sprawdzą dziecko, czy nie obrzezane... I co wtedy? A łapanki? A szmalcownicy?... A jak spotkasz nagle kogoś znajomego... Niechby tylko odezwał się do ciebie po imieniu... Niechby powiedział jedno słowo... Niechby tylko pokazał po twarzy... Wiesz ile trzeba było odwagi, żeby żyć na aryjskich papierach? A mówić z ludźmi i nie pomylić się? Nie powiedzieć niepotrzebnego słowa. Pilnować się. Nawet we śnie. A wiedzieć kiedy pójść do kościoła, kiedy i gdzie się modlić, spowiadać... A jak się spowiadać, to jak?... Ludzie ginęli ze swoimi aryjskimi papierami na moich oczach! Więcej ich ginęło niż u chłopów w kryjówkach i w lesie. Jeszcze samej kobiecie było łatwiej, ale z dzieckiem? Z dzieckiem, które wszystko wiedziało?...

— No i co z tego? Ty umiałaś to wszystko, a ja bym nie umiała?...

— To czemuś tego nie zrobiła?

— Bo nie chciałam, rozumiesz? Nie chciałam! Bo byłam i jestem Żydówką! Tak jak wszyscy Żydzi!...

— To dlaczego wyskakiwałaś? Dlaczego nie pojechałaś, tak jak wszyscy Żydzi?...

— Żałujesz mi, że żyję?!...

— Ja tobie niczego nie żałuję! To ty mnie zazdrościsz, bo ja uratowałam dziecko!...

— Nie, to ty mnie zazdrościsz! Wiesz, czego mi zazdrościsz? Męża!... Myślisz, że nie widzę jak się za nim oglądasz?!... Myślisz, że nie wiem, że nie słyszałam jak mówiłaś do ludzi, że nie on jest winien! Że nie on zostawił dzieci, tylko ja! Że to ja, ja jestem winna!...

— Nikomu takich rzeczy nie mówiłam i nie zazdroszczę ci twojego męża. Nigdy na niego nawet nie spojrzałam!...

— Nie? Bo co? Bo jest dosyć Rosjan?...

Kto wie do czego by wtedy doszło, gdyby nie przybiegł Fryd.

— Wstyd! Żydowskie kobiety! — zawołał Fryd. — Jak tak można?! To po to przeżyliśmy?!... Nie wstyd wam przed obcy mi?... Jak można się nawzajem obwiniać? Kto, kto z nas może być winien?!... Zastanówcie się! Wstyd!

Nusen wyprowadził Frymkę z kuchni. Frydowie odeszli na górę. Frydowie stanowili rodzinę, Nusenowie też byli przynajmniej we dwoje. A kto miał się ująć za mamą? Więc nie Frymka po tej awanturze płakała, lecz mama.

Mama była nadal najładniejszą kobietą w Dobrem. Nosiła najlepiej uszyte, własnoręcznie przerabiane sukienki i z daleka rzucały się w oczy jej utlenione, jasne włosy. Rosjanie zalecali się do niej. Ale chociaż czynili to w znany, wojskowy sposób, nigdy nie byli ordynarni ani nachalni, jak to się zdarzało w stosunku do innych kobiet w Dobrem.

Mama była wdową, a Rosjanie byli dobrzy dla wdów. Znacznie lepsi niż dla innych kobiet. W każdym razie nie krzywdzili wdowy. Na odwrót, starali się okazywać jej opiekę i pomoc. Nie onieśmiala ich bynajmniej żałoba. Była wojna, a w czasie wojny wdowa to zwyczajna rzecz. „Wdów jest teraz dużo”, mówili, „I jeszcze więcej będzie”... Byli dobrzy dla wdów, bo myśleli o swoich własnych żonach, które bardzo łatwo mogły zostać wdowami.

Kapitan Gopin coraz częściej przychodził do nas wieczorem. Palił papierosy i nucił „Moja szufliatka zamknięta na klucz, a w niej pamiątek mooc...” Jeśli lejtanci byli wieczorem na służbie, Gopin przychodził do naszego pokoju z kolacją i zostawał coraz dłużej.

Kapitan był wiekiem starszy od wielu wyższych rangą oficerów. Nie miał też tylu orderów co inni, ale był bardzo szanowany przez żołnierzy. Mama mówiła, że Gopin też nie mało w swoim życiu przeżył, że był najlepszym rosyjskim oficerem jakiego sobie można wyobrazić i że to nie jego wina, że w jego wieku był jeszcze wciąż kapitanem.

Czasem zasypiałem podczas wizyty Gopina w naszym pokoju i nie słyszałem kiedy wychodził. Pewnego rana obudziłem się i zobaczyłem rubaszkę z kapitańskimi pagonami wiszącą na krześle, a samego Gopina gołącego się nad naszą miednicą przed lustrem. Tego samego dnia Gopin zabrał od Nusenów wszystkie swoje rzeczy i przeniósł je do nas.

Gopin lubił zabierać mnie do żołnierzy. Chcąc przypodobać się swojemu kapitanowi żołnierze dawali mi do noszenia broń, pod której ciężarem się uginałem, a czasem częstowali wódką, którą dusiłem się lecz piłem. Pewnego dnia Gopin zawiózł mnie do pułkowego szewca i kazał zrobić dla mnie buty z cholewami na zimę. Byłem bardzo dumny z tych butów i z tego, że kapitan Gopin mieszkał z nami. Nawet Frymka, której mama się najbardziej bała, nieoczekiwanie nabrała respektu i przestała kłócić się z mamą.

Od czasu gdy Gopin przeniósł się do mamy, zaczął nas odwiedzać NKWDzista Kola. Nie mówił jak się naprawdę nazywa, kazał mówić na siebie — Kola i wszyscy go tak nazywali. Kola, chociaż



nie mieszkał u nas i nigdy nie przynosił konserw, był zawsze, gdy przychodził, częstowany obiadem albo kolacją. Zjadał wszystko co mu podawano, a jeśli miał mało, to kazał sobie jeszcze dołożyć. Nic sobie nie robiąc z Gopina zalecał się do mamy. Mnie, również przy Gopinie, brał na kolana i kazał powtarzać za sobą:

*Ja maleńkij cwietczek,  
ja junij pianier,  
ja Stalina synoczek,  
zaszcziтник eseser...*

Izakowi Frydowi, który był bardziej muzykalny niż ja, Kola kazał śpiewać piosenkę z polskimi słowami:

*Pójdziemy przez Polskę i przez cały świat  
będzie odtąd wszędzie —  
Republika Rad!*

Ojciec spuścił Izakowi lanie, gdy usłyszał jak Izak śpiewał to sobie w domu, a mnie wypytywał, czy nikt obcy nie słyszał jak Izak tę piosenkę śpiewał.

Raz Fryd przy Koli zapytał, co się stało z rosyjskimi Żydami, kiedy Niemcy przyszli do Rosji? Z Żydami z Kijowa, Homla, Odessy, Saratowa, Charkowa, Nowogrodu, Pskowa?...

Wszyscy spojrzeli na Kolę i nikt się nie odzywał.

— Ewakuowali się... — odezwał się w końcu Etkin.

— Wszyscy?

— No pewno — powiedział Etkin.

— Kto się nie ewakuował, wstępował do partyzantki — powiedział NKWDzista Kola.

— A starsi ludzie, kobiety, dzieci?...

— Wszyscy... — powiedział Kola.

— Przeważnie jednak się ewakuowali — powtórzył Etkin.

Gopin i Szejn milczeli.

— W Rosji Niemcy nie wazyli się robić takich rzeczy jak tutaj — powiedział NKWDzista Kola. — Naród nie pozwolił! U nas Żydzi, nie-Żydzi wszystko jedno. Jak mogli dojechać Żyd, a kto nie? Nie mogli. Ludzie u nas tacy, że nikt by nie wydał Niemcowi...

— Przeważnie jednak ewakuowali się — powtórzył znowu starszy lejtnant Etkin. Gopin nadal się nie odzywał, a Szejn wstał i wyszedł.

Szejn był Żydem. Na żydowski Nowy Rok Frydowa zaprosiła go razem z nami i Nusenami. Nikogo z pozostałych oficerów nie

zaprosiła, nawet Gopina. Lejtnant Sztejn na żadne libacje nigdy nie przychodził, ale wtedy przyszedł. Gdy usiedliśmy dookoła świątecznego stołu, wyjął z kieszeni na piersi trzy fotografie w celofanowym opakowaniu.

— Moja matka — powiedział podając pierwszą fotografię.  
— Moja siostra — powiedział podając drugą. — Dziewczyna z dzieckiem na ręku — powiedział pokazując trzecią fotografię — to była moja żona...

Sztejn pochodził z Kijowa, a jego matka i siostra mieszkała w Odessie. Kijów miał nigdy nie być Niemcom oddany, podobnie jak później Odessa. Skoncentrowano całą ukraińską armię, żeby bronić Kijowa. Cała armia została odcięta, otoczona i wzięta do niewoli. Część przeszła później na niemiecką stronę. Rodzina Sztejna została w Kijowie, nikt z nich nie zdążył się ewakuować. Nikt z Żydów, którzy pozostali w Kijowie, nie przeżył. Odessa była broniona. Kiedy została w końcu wzięta przez Niemców i Rumunów, było w niej jeszcze siedemdziesiąt tysięcy Żydów. Kiedy Rosjanie Odessę odebrali, nie zastali ani jednego Żyda — tylko ciała w podziemiach starożytnych, pododesskich katakumb.

Fotografie krążyły podawane z rąk do rąk dookoła świątecznego nakrytego stołu. Nikt nie wypowiedział uwag. Tylko cienie kołysały się na ścianach, gdy przy zapalonych świecach wstaliśmy z miejsc i ojciec Izaka odmawiał głośno Kadisz.

Pewnego dnia Frymka i Nusen dostali wezwanie do Mińska Mazowieckiego, gdzie w ścisłej tajemnicy wręczono im legitymacje PPR-u. Wręczając legitymacje powiedziano im, że od tej pory mają obowiązek zawiadamiać partię o wszelkich podejrzanych rzeczach, jakie działyby się w Dobrem, a zwłaszcza o podejrzanych osobach. Nusenowie byli zaskoczeni. Przecież nikogo o przyjęcie do partii nie prosili. Bali się jednak odmówić przyjęcia legitymacji, więc tylko zapytali nieśmiało, czemu zawdzięczają aż takie zaufanie?

— A komu mamy ufać? — odpowiedział sekretarz. — Czy tym, którzy nienawidzą naszego wyzwoliciele, Związku Radzieckiego? Czy tym, co chodzą do kościoła i modlą się o naszą zgubę? A może tym, którzy nienawidzą Żydów?...

To ostatnie pytanie najbardziej trafiło Nusenom do przekonania.

— Pamiętajcie, że jeśli wam coś będzie groziło, to nikt nie będzie was bronił, tylko my, nasza władza i nasza partia! — po-

wiedział na pożegnanie sekretarz. — Musimy więc sobie wzajemnie pomagać...

Frymka miała za złe mamie, że nie wniosła oskarżenia w sprawie zabójstwa ojca. Mówiła, że obowiązkiem mamy, chociażby jako żony i matki osieroconego dziecka, było pójść na NKWD i podać nazwiska wszystkich podejrzanym. NKWD już samo doszłoby, kto jest naprawdę winny, a kto nie. Od tego NKWD jest. Ostrożność mamy była, zdaniem Frymki, zwykłym tchórzostwem, dla którego nawet nie było uzasadnienia, bo w Dobrem stacjonowali Rosjanie i nie było powodu się bać. Wyjechać z Dobrego i tak prędzej czy później trzeba będzie, więc tym bardziej należało wnieść oskarżenie.

Wkrótce i mama dostała wezwanie do Mińska. Ale nie pojechała. Wzywano ją jeszcze dwukrotnie. Wreszcie przyjechał do Dobrego Bolek. Był w mundurze plutonowego. Na piersi miał medal. Pokazał mamie listę z nazwiskami.

— Co możesz o tych ludziach powiedzieć? — spytał.

— Nic nie mogę o nich powiedzieć — odpowiedziała mama.

— Przecież mnie tutaj nie było, kiedy to wszystko się działo.

— Nic nie możesz powiedzieć?... — Bolek podszedł do mnie i położył rękę na mojej głowie. — Nie możesz powiedzieć nawet, kto zabił ojca twojego dziecka?...

— Zostawcie mnie wreszcie w spokoju! — zawołała mama wybuchając płaczem. — Czego wy wszyscy ode mnie chcecie?! Czy nie dość jeszcze miałam za swoje w moim krótkim życiu?!... Wystarczy! Nie chcę! Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego! Nie chcę mieć z niczym do czynienia! Jestem kobietą i chcę żyć, tak jak wszystkie kobiety! Mam chyba do tego prawo?! Nie chcę o niczym więcej wiedzieć! Nie chcę i już!...

— Nie płacz — powiedział Bolek. — I nie bój się! Czego ty się tak boisz? Przecież byłaś odważna? Dzięki swojej odwadze przeżyłaś. A teraz się boisz? Czy po to przeżyłaś? Przestań się bać! Czasy się zmieniły, niech teraz inni się boją...

Mama długo nie mogła się uspokoić. Bolek podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

— Jeśli się boisz, możesz jechać do Mińska... O, tym samochodem, co stoi przed domem! Choćby tak jak stoisz, zaraz!...

— Po co? Do kogo ja pojedę do Mińska? — nie rozumiała mama.

— Jest do kogo... Do kogoś, kto mógłby cię zawsze bronić. Gopin? Odejdzie niedługo na front, i co potem? Co zrobisz sama z dzieckiem? Dokąd pojedziesz? I ja jestem na świecie sam, może jeszcze bardziej niż ty... Bylibyśmy sobie oboje potrzebni.

Jesteś jedyną kobietą, z którą umiałbym się ożenić... Na niczym więcej mi nie zależy... Czy mnie rozumiesz?

— Tak... — odpowiedziała mama.

— No więc jak?

— Zastanowię się...

Mama bardzo dobrze Bolka rozumiała. Ale wyszłaby za każdego tylko nie za niego. Po prostu się bała.

Gdy Bolek odjechał, mama pobiegła do pani Ciokowej, nauczycielki, przez którą Słoń załatwił nam w swoim czasie aryjskie papiery, i wymieniła jej nazwiska, które Bolek miał na liście. Prawdę mówiąc nie były to nazwiska ludzi, którzy byliby warci, żeby się ich losem przejmować, ale mamie chodziło o to, żeby w Dobrem wiedziano, że nie miała z tą sprawą nic wspólnego, że właśnie przeciwnie...

Na liście, którą mama widziała u Bolka, nie było nazwiska Dziurewicza. A tymczasem nazajutrz pani Ciokowa przybiegła do mamy z wiadomością, że Dziurewicza w Mińsku aresztowano. Pani Ciokowa, która była osobistą przyjaciółką Dziurewiczowej, nalegała, żeby mama pojechała do Mińska ratować Dziurewicza.

— To zrobi na ludziach dobre wrażenie — powiedziała. — I będzie mogło się pani przydać...

Mama bała się pójść świadczyć za Dziurewiczem, ale bała się również odmówić. Do Dziurewiczowej była zawsze bardzo przywiązana i chciała jej pomóc, z drugiej jednak strony, chociaż nie chciała wierzyć, żeby Dziurewicz się przyczynił do śmierci ojca, to po tym wszystkim, kiedy się dłużej zastanawiała, niczego już nie była pewna. Nie mogła jednak odmówić i pojechała do Mińska. Pojechała przede wszystkim dlatego, że się bała.

NKWDzista był rad, że mama przyszła. Wyjął z szuflady kartkę papieru i podał jej.

Na kartce tej okrągłym, szkolnym pismem było napisane, że były posiadacz ziemski z Radoszyny, Dziurewicz, który jak większość obszarników utrzymywał dobre stosunki z Niemcami, w zamian za co Niemcy ochraniaли jego stan posiadania, wiedziony chęcią zysku i wrodzonym antysemityzmem zorganizował zamach na życie szukającego u niego pomocy, prześladowanego przez niemieckiego okupanta, Abrama z Radoszyny, syna zgładzonego w Treblince Izajasza z Nowej Wsi, gmina Dobre, powiat Mińsk Mazowiecki... I tak dalej. Czy mama jest gotowa podpisać się pod tym oświadczeniem?

— Wprost przeciwnie! — powiedziała mama. — Właśnie przyszedłam, żeby temu oświadczeniu zaprzeczyć. Dziurewicza, by-

tego dziedzica z Radoszyny, znam jako porządnego człowieka, który w swoim życiu nikomu nie zrobił krzywdy. Przeciwnie, bronił nas przed wysiedleniem z Radoszyny, a i potem pomagał nam jak tylko mógł. Przechowywał nasze rzeczy, nie odmówił nam nigdy chleba, mleka, albo kartofli, gdy pokryjomu przychodziliśmy w nocy do Radoszyny, a nawet pozwalał nam się przespać w oborze lub w stodole. Dziurewicz nigdy nie wyrządził nam takiej krzywdy! Z powodu kilku marnych rzeczy, które u niego przechowywaliśmy?... Ani nawet z powodu antysemityzmu! Antysemityzm czuliśmy przeważnie ze strony chłopów, a nie dziedzica. Jak ktoś mógł w ogóle zrobić takie doniesienie? — dziwiła się mama. — Przecież to mnie wdowie, która została bez środków do życia z dzieckiem na zawsze pozbawionym ojcowskiej opieki, chyba najbardziej zależałoby na tym, żeby ukarać tego, kto zabił mojego męża i nigdy bym nie darowała! Gdybym miała chociaż cień podejrzenia w stosunku do Dziurewicza, to sama zrobiłabym doniesienie, ale ja mogę ręczyć za jego niewinność!...

— Takaś pewna, że ten p o m i e s z c z i k taki dobry p a n ?

— On tego nie zrobił, mogę dać głowę!...

— Uważaj, żebyś kiedyś nie straciła tej swojej głowy, jak ją będziesz tak dawać! — powiedział NKWDzista ze złością.

Prosto z NKWD mama poszła do Bolka i powiedziała, że jeśli naprawdę mu na niej zależy i nie chce jej krzywdy, to niech również pójdzie do NKWD i złoży oświadczenie przeciwko oskarżeniu Dziurewicza.

Dziurewicza w końcu wypuszczono. Wszyscy wiedzieli, że to dzięki mamie i od razu lepiej poczuliśmy się w Dobrem. Tylko z Frymką mama znowu się pokłóciła, bo to jej pismo mama rozpoznała na kartce, którą w NKWD dano jej do podpisania.

Na siódmego listopada zapowiedziano wielką uroczystość w Dobrem. Pani Ciokowa poszła do proboszcza po klucz od parafialnej sali. Ksiądz nie chciał się jednak zgodzić, żeby w Domu Parafialnym odbywały się, jak się wyraził, bezbożne uroczystości. Pani Ciokowa przekonywała, że nie chodzi wcale o żadną bezbożną uroczystość, tylko o uroczystość narodową, polską.

— Polską?... Nie wstydzi się pani mówić takie rzeczy? I to komu? Mnie, księdzu? Co to, ja nie wiem, co to jest siódmy listopada?

— Nie ważne, że s i ó d m y, proszę księdza — powiedziała pani Ciokowa. — Niech mi ksiądz wierzy! Po prostu nie ma innej rady, dlatego siódmy... Nic więcej nie mogę księdzu powiedzieć.

— Wstydzilibyście się robić głupca z waszego starego księdza. Stary jestem, ale nie do tego stopnia. A klucza od sali parafialnej nie dam! Nie mam! Zgubiłem!... — powiedział ksiądz i szybko się przeżegnał.

Nie było innej rady, wójt, mąż pani Ciokowej, posłał Władka z jeszcze dwoma milicjantami. Właściwie nie potrzeba ich było aż trzech. Wielki Władek podał jednemu z milicjantów swój karabin do potrzymania, a sam nawet się nie rozpędzał, tylko oparł się dobrze o drzwi i drzwi od razu puściły, tylko drzazgi poleciały.

Mama zwróciła się do pani Ciokowej z prośbą, żeby i mnie pozwoili wygłosić jakiś wiersz na uroczystości. Pani Ciokowa od razu chętnie się na to zgodziła i dała mi do wyuczenia się bardzo długi wiersz pod tytułem „Rok 1918”. Mama pamiętała ten wiersz jeszcze z czasów, kiedy sama chodziła w Dobrem do szkoły.

Na uroczystość przybyli rosyjscy oficerowie, dzieci szkolne i milicjanci z biało-czerwonymi opaskami. Resztę miejsc wypełniła ludność Dobrego zachęcona ogłoszeniami, które wielkimi literami zapowiadały — Występy Cyrkowe.

Wójt najpierw udzielił głosu majorowi Motkowowi, który był komendantem Dobrego, a potem pani Ciokowej. Nikt oprócz Rosjan nie rozumiał, o czym mówił we wstępnym przemówieniu major Motkow, ale z przemówienia pani Ciokowej wynikało, że rzeczywiście nie chodziło o żadne bezbożne święto, które mogłoby przynieść ujmę pięćsetletniej parafii w Dobrem.

— Jest to święto, które każdy z nas, Polaków, dobrze zna i pamięta! — mówiła pani Ciokowa. — I którego nigdy nie zapomni! Święto, którego tak długo nie wolno nam było obchodzić, a które jednak obchodzimy i będziemy obchodzić, wbrew wszystkim naszym wrogom!...

Na sali nastąpiło poruszenie.

— Jest mi tym przyjemniej — kontynuowała pani Ciokowa — że rosyjscy oficerowie byli tak mili i zechcieli przyjść, żeby wraz z nami wziąć udział w naszym — pani Ciokowa z całym naciskiem podkreśliła to „naszym” — święcie!... — Pani Ciokowa uczyniła pauzę i, rzeczywiście, rozległy się oklaski.

— Niech żyje Polska! — zawołała pani Ciokowa.

— Niech żyje! — odpowiedziała sala, a Rosjanie uprzejmie zaklaskali.

— Niech żyje święto... — pani Ciokowa znów chwilę się zawahała — listopada!...

Po przemówieniach usunięto z podium stół prezydalny i krzesła i wtóczono pianino. Sprowadzony z Mińska Mazowieckiego artysta w przedwojennym, ciemnym garniturze i z biało-czerwoną

kokardą w klapie, ze złożonymi jak do modlitwy rękoma zaśpiewał „O mój rozmarynie rozwijaj się”, „Rozkwitały pąki białych róż” i kilka innych, znanych każdemu dziecku w Dobrem piosenek, które przez wiele lat śpiewał stacjonowany w Mińsku Mazowieckim siódmy pułk ułanów.

Każdy numer programu zapowiadany był po polsku i po rosyjsku. Po polsku zapowiadała pani Ciokowa, a po rosyjsku pewien młodszy lejtnant. Kiedy pani Ciokowa zapowiedziała wiersz pod tytułem „Rok 1918”, lejtnant podszedł i nachylił się do jej ucha.

— 1917 — powiedział.

— Nie, z całą pewnością „18” — odpowiedziała głośno pani Ciokowa.

— Właściwie o tysiąc dziewięćset osiemnastym też wiersze pisano... — zgodził się w końcu Rosjanin.

Wiersz się zaczynał od słów „Ludzie, konie, armaty”, a kończył okrzykiem „Wypędzimy naszych wrogów gdzie pieprz rośnie!” Okrzyk ten należało wznieść głośno, wyraźnie i z wielkim przekonaniem.

Ludzie słuchali wiersza w ciszy i z prawdziwą uwagą. Ale gdy zwołałem owe „wypędzimy wrogów gdzie pieprz rośnie!”, zerwali się z miejsc klaszcząc, tupiąc, wołając „brawo!” Ku jeszcze większej radości sali, również Rosjanie śmieli się i klaskali.

Nie wiedziałem co robić. Chciałem jak najszybciej zejść ze sceny, ale pani Ciokowa wzięła mnie za rękę, wyprowadziła z powrotem na przód podium i kazała mi tę ostatnią zwrotkę powtórzyć. Kiedy powtórzyłem, wielki Władek, który cały czas stał koło podium w skórzanym kurtce, z karabinem, śmiejąc się chwycił mnie w swoje ogromne ręce i trzymając wysoko nad głową zniósł ze sceny.

Entuzjastycznie przyjęto potem również rosyjskich żonglerów, iluzjonistę i dwóch akrobatów. Na zakończenie major Motkow wyraził w imieniu rosyjskiego dowództwa gorące podziękowanie pani Ciokowej za świetne zorganizowanie uroczystości, a ludności Dobrego za przybycie i za to, że uroczystość upłynęła w tak przyjaznej i serdecznej atmosferze.

Wieczorem Rosjanie wydali przyjęcie w naszym domu. Pokoje zostały oświetlone elektrycznymi lampami, które rosyjscy żołnierze podłączyli długimi, grubymi kablami do ustawionych na podwórzu akumulatorów. Stoły zestawiono w podkowę, a do ściany przybito wycięte z gazety zdjęcie marszałka Stalina. Przybył podpułkownik, który zajął miejsce pod samym zdjęciem Stalina, Rosjanki w mundurach i przedstawiciele polskiej milicji. Frymka, Frydowa i mama podawały do stołu.

Pułkownik wygłosił toast, po którym Rosjanki zaintonowały

„Wypiom za rodzinę, wypiom za Stalina!...” Kiedy wszyscy już byli podpiści, NKWDzista Kola zawołał mnie, postawił na stole twarzą do zdjęcia na ścianie i siedzącego pod zdjęciem podpułkownika i kazał mi zarecytować „Ja maleńkij cwietczek, ja junij pianier, ja Stalina synoczek...” i tak dalej. Rosjanie byli zachwyceni, Kola ucałował mnie w oba policzki. I znowu wielki Władek, który był wśród zaproszonych przedstawicieli polskiej władzy, wstał, zdjął mnie ze stołu i oddał w ręce mamy. Tym razem nie było jednak ani śladu uśmiechu na jego twarzy.

Wielki Władek był najwyższym i najsilniejszym mężczyzną w Dobrem i ludzie go szanowali, chociaż nikt go się właściwie nie bał. Wielki Władek nigdy nie zrobił nikomu nic złego. Za Niemców należał do AK, ale tak zwaną polityką się nie zajmował, chciał tylko bić się z Niemcami. Kiedy przyszli Rosjanie wyszedł z lasu. Miał dosyć lasu, chciał wstąpić do prawdziwego wojska. Ale do wojska go nie przyjęli, bo utykał od rany, która uszkodziła mu w nodze nerw. Więc Władek, który nic innego oprócz noszenia broni nie umiał, wstąpił do milicji. Nie był ani nie miał zamiaru stać się komunistą. Mówił, że jego jedynym obowiązkiem jako milicjanta jest uważać, żeby nikomu w Dobrem nie działa się krzywda, więc nikt nie powinien mieć do niego pretensji o to, że wstąpił do milicji. I ludzie w Dobrem rzeczywiście nie mieli do niego pretensji. Przeciwnie, był jedynym milicjantem, którego lubili. Nawet Frymka, która nie lubiła nikogo, a już najbardziej słowa „Aka”, twierdziła, że wielki Władek jest jedynym porządnym gojem jakiego zna. Władek raz uratował im życie.

Za Niemców było na wsi wielu takich, którzy chodzili po nocy z bronią i sprawowali władzę. Przy tej okazji załatwiali swoje porachunki z sąsiadami, rywalami i wszystkimi, których nie lubili. Sprawiało im przyjemność, że mogli decydować komu życie, a komu śmierć. Czasami wstępowali do AK, czasami do innych organizacji, których było wtedy dużo. Kiedy potrzebowali broni, to rzeczywiście napadali na Niemców, kiedy się chcieli zabawić, napadali na chłopów lub dwory, a gdy spotkali Żyda, to żądali pieniędzy. Wszystko to nazywało się „partyzantka”.

Kilku uzbrojonych parobków znalazło raz Frymkę i Nusena u chłopą w komorze. Grozili, że jeśli nie dostaną pieniędzy, to zawiadomią Niemców. Gospodarz zląkł się, że rzeczywiście mogą dać znać do Niemców, ale nie chciał też stracić pieniędzy Nusenów. Poprosił, żeby „panowie partyzanci” pozwolili mu pójść z Nusenem do kogoś, u kogo Nusen ma pieniądze, a sami niech



przez ten czas rozgospzczą się przy wódce i zakąsce. Gospodarz i Nusen poszli, a Frymka została pod zastaw. Co przez ten czas „partyzanci” robili z Frymką — tego Frymka nigdy nie opowiadała. Dość, że gospodarz zamiast z pieniędzmi wrócił z wielkim Władkiem. Władek i jego koledzy odebrali „partyzantom” broń, przy czym Władek im zapowiedział, że jeśli tylko spróbują coś pisać do Niemców — to on ich już znajdzie.

Wielki Władek bardzo imponował nam, dzieciom.

Gopin dostał jednak nominację na majora. Nominacja przyszła wraz z rozkazem wymarszu na front. Mama z wypiekami na twarzy krzątała się przy walizce Gopina. Wyprasowała mu mundur, poprząsywała mocno guziki. Sama nie wiedziała co dla niego zrobić, bo Gopin niczego nie potrzebował. Upiekła mu ciastek na drogę. Gopin ze swej strony zawiózł mnie jeszcze raz do wojskowego szewca i kazał zrobić dla mnie jeszcze jedną parę butów — na wyrost. Zostawił mi na pamiątkę swój kompas, futerał od lornetki i stare kapitańskie pagony. Kilkakrotnie żegnał się z nami, wychodził z domu, a potem wracał, gdy okazało się, że godzina wymarszu została odłożona o jeszcze jedną godzinę. Na koniec mama włożyła palto i wsiadła z nim do samochodu. Odprowadziła go aż do Mińska Mazowieckiego.

W dwa dni później wyjechali do Mińska Mazowieckiego Nusenowie, a do obu frontowych pokoi wprowadził się posterunek milicji. Mama sama to zaproponowała, bo źle się czuła w dużym i pustym mieszkaniu. Czyżewscy przejęli po milicji frontowy pokój, gdzie dawniej był sklep mięsny Nusena, a nam zupełnie wystarczał pokój z kuchnią, która teraz była wyłącznie do naszej dyspozycji.

Ślub Słonia z Sobótkówną i Biümka z córką Śliwy odbył się w drugi dzień Bożego Narodzenia. Zjechali się chłopcy z całej okolicy. Rynek zastawiony był furmankami jak w targowy poniedziałek. Nawet major Motkow, który pozostał w Dobrem jako przedstawiciel rosyjskiego dowództwa, wziął udział w tym widowisku. Do kościoła oczywiście nie wszedł, ale gdy młode pary wychodziły zeń, major ze swoim ordynansem, Ukraińcem, którego nazywano „Cap-carap” i milicjantami urządzili straszną strzelaninę na wiwat. Potem Motkow z „Cap-carapem” wsiedli do swojego gazika, a reszta ludzi na furmanki i pojechali do Drupia na wesele. Pojechała również mama, bo Biümek i Słoń oraz Aron, który był drużbą, bardzo nalegali. Tylko Frydowie odmówili wzięcia udziału w weselu.

Na wszelki wypadek Aron, Biemek i Słoń zaprosili na wesele wszystkich milicjantów z Dobrego. Milicjanci chętnie skorzystali z zaproszenia. Na posterunku w Dobrem został tylko wielki Władek z jeszcze jednym milicjantem. Aron, Biemek i Słoń bardzo chcieli, żeby Władek był na ich weselu, ale Władek oświadczył, że z felerem w nodze niewiele na weselu wytańczy a za to o wiele bardziej przyda się na posterunku w Dobrem.

Na weselu było ze trzysta osób. Było to właściwie potrójne wesele, bo Aron przedtem wesela nie miał. Objadano się do nieprzytomności, a samogonu było znacznie więcej niż goście mogli wypić. Jednakże obecność milicjantów i majora Motkowa pozwalała całkowicie panować nad atmosferą i nie dochodziło do rozlewów krwi. Jeśli ktoś czasem kogoś zaczepił, to kończyło się najwyżej na puszczaniu krwi z nosa, ale nikt nie używał noża. Orkiestra grała na przemian polki, oberki, kozaki. Major i milicjanci tańczyli jak opętani, a „Cap-carap”, wesolek i złodziejasek — z tego właśnie powodu nazywano go „Cap-carap” — był wodzirejem. W przerwach między tańcami wszyscy z wszystkimi pili. Ci co mieli broń strzelali na wiwat, a najczęściej strzelał „Cap-carap”.

Pito zarówno do Biemka, który miał teraz na imię „Janek”, do Słonia, którego wołano „Stachu!” jak i do Arona, którego nie traktowano jako družbę, lecz również jako pana młodego.

— Pij, Janek! — wołali goście do Arona, który również miał teraz na imię „Janek”. Przecież to i twoje pierwsze prawdziwe wesele!...

— Nie tak sobie wyobrażałem moje prawdziwe wesele — powiedział Aron do mamy. Nalał sobie pełną szklanę wódki. Nalał również dla mamy. — Możesz mi wierzyć, że nie tak... — powiedział wychylając całą szklanę do dna. Bardzo dużo pił. Mama również piła.

— Co za różnica, jak? — odpowiedziała mama. — Najważniejsze, że w ogóle masz wesele! Że żyjesz... Że w ogóle żyjemy...

— Co z tego, kiedy nasze życie już nie jest takie, jakbyśmy chcieli... I nigdy już nie będzie.

— A czy było ono kiedykolwiek takie, jakbyśmy chcieli? Też nie. I nie tylko nasze. Życie innych też nie jest takie, jakiego by chcieli...

— Innym jest jednak zawsze lepiej niż nam...

— Przestań Aron! — przerwał mu Słoń. — To jest wesele!...

— Słyszysz? To jest wesele!... — powiedział Aron do Biemka, który siedział ze spuszczoną głową. — Jest wesele, a ty co?!...

— Moi bracia powinni tu być — odpowiedział pijany Biemek. — Moi bracia...

— Cicho bądź! — powiedział Słoń. — I nie myśl o tym! Było, przepadło, koniec! Trzeba żyć! Trudno. Czy po to przeżyłeś, żeby się teraz do końca życia martwić? W dodatku na własnym weselu?... *L'chaim!*...

— Przystań! — zawołał Aron do Słonia. — Teraz ty przestań, Słoń! Tobie też nie wszystko wolno! Tego ci nie wolno! Pamiętaj!... Nie jesteś na żydowskim weselu! I nigdy już nie będziesz...

Słoń się zmieszał i stracił cały fason.

— No dobrze... — powiedział. — Ale nie miejcie wszyscy takiej miny, bo jeszcze zauważą...

— Nic nie pomoże to wszystko! — powiedział Aron do mamy. — Jesteśmy i zostaniemy Żydami, choćby nas dwadzieścia razy ochrztili... Choćbyśmy nie chcieli. Nie zapomnimy. Tego się nie da zapomnieć. Zresztą oni nam sami przypomną... I to jeszcze nie raz! Nawet naszym biednym, mieszanym dzieciom... Zobaczysz! Widzisz to? — wskazał tańczących. — Ja w to wszystko nie wierzę! Może za sto, dwieście lat... Pamiętaj, jak tylko front pójdzie naprzód, trzeba stąd natychmiast wyjechać! I to daleko! Jak najdalej! Tak daleko, żeby nigdy nie wrócić...

Podczas gdy pijany major Motkow i milicjanci popisywali się w Drupiu hołubcami i prysiadami pod komendą wodzireja „Capcarapa” i wystrzelili swoją amunicję na wiwat, do Dobrego przyszło kilkunastu uzbrojonych ludzi. Podeszli pod posterunek i wystrzelili kilka razy do okien.

— Otwórzcie drzwi i podnieście ręce do góry, to nic wam nie zrobimy — zawołał do Władka i drugiego milicjanta, który był z nim na posterunku.

— O co wam chodzi? Czego chcecie? — zapytał wielki Władek.

— Nie pytaj, tylko rób co ci się każe, bo będzie gorzej!

— Nie otwieraj! — zawołał milicjant, który był z Władkiem, i załadował karabin.

— Co robisz?! — powiedział Władek wyrывая mu karabin z rąk. — Z kim chcesz się bić? Z Polakami?...

Władek otworzył i obaj stanęli z podniesionymi rękoma. Tamci związali im ręce. Milicjanta, który był z Władkiem, uderzyli kolbą po głowie i zostawili nieprzytomnego, Władka wyprowadzili na podwórze. Nie bili go.

— Dobrze, że otworzyłeś — powiedział jeden z nich — bo mogłoby być o wiele gorzej!...

Stali pod naszymi oknami. Leżałem pod łóżkiem i wszystko słyszałem.

— Panowie, dajcie zapalić... — powiedział wielki Władek.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

— Jeszcze trochę... — poprosił Władek.

— Dosyć! — zakomenderował jeden z tamtych. Po chwili szczerknął strzał i coś ciężko chlapnęło w błoto.

Zaraz potem zadudniły kroki na schodach prowadzących do Frydów.

Usłyszawszy strzały Frydowie zerwali się z łóżek i wybiegli na strych po drabinie, którą wciągnęli za sobą na górę, a otwór zasunęli klapą. Na klapę postawili wszystko co tylko stało na strychu.

Tamci nie mieli czasu, żeby próbować się do nich dostać. Tylko w mieszkaniu Frydów, rano, wszystko było podarte i porzbijane.

U nas były tylko dziury w okiennicach i wybite szyby. Rozbity przez kule został gąsior z olejem, który stał na oknie. Ale właściwie nikt nie próbował się dostać do środka.

Na podwórzu, w miejscu skąd zabrano ciało wielkiego Władka, leżały wgniecione w błoto śmieci i niedopalony papieros.

Senni i zmęczeni całonocną zabawą i pijatyką milicjanci opuścili wesele o świcie. Ale do Dobrego wrócili dopiero w południe. „Wrócili”... Leżeli wszyscy siedmiu w poprzek fury. Przyciągnął ich nieprowadzony przez nikogo koń.

Nie zostali zastrzeleni. Nie znaleziono w ich ciałach kul. Byli porżnięci nożami. Nie mieli w ogóle twarzy. Zdjęto ich z wozu i ułożono na słomie. Byli bez broni i bez butów.

Przybiegł Witek Czyżewski, którego ojciec też był wśród tych siedmiu.

— Chodź to zobaczysz! — powiedział.

Przed wejściem do szopy było pełno ludzi. Już z daleka słychać było jak kobiety płakały. Gdy podeszliśmy, ludzie rozstąpili się, żeby przepuścić Witka. Zbliżyliśmy się na palcach.

— Trzeci z tego brzegu... — powiedział Witek z dumą.

— Skąd wiesz, że to on? — spytałem szeptem.

— Poznaje po spodniach.

Witek nie płakał. Ani wtedy w szopie, ani na pogrzebie. Przeciwnie, wydawało się, że był naprawdę dumny. Jego matka płakała. I wszystkie kobiety płakały. Ale ani Witek ani inne dzieci nie płakały. Jeśli umierała matka, to dzieci płakały. Czasem płakały, jeżeli ojciec umarł. Ale bardzo rzadko zdarzało się, żeby któreś z dzieci płakało, kiedy ojciec został zabity. Ojcowie ginęli i to było całkiem normalne. Wzbudzało zainteresowanie.

Mogło być powodem do dumy. Ja też nie płakałem, kiedy dowiedzieliśmy się, że ojciec został zabity. Co prawda dwa lata żyliśmy bez niego i zdążyłem się przyzwyczaić do tego, że go nie ma. Ale myślę, że nie płakałbym również, gdybym się dowiedział, że na froncie zabito Gopina, którego kapitańskie pagony nosiłem na ramionach. Dzieci na ogół nie potrafią płakać, gdy ich ojcowie giną. Dopiero potem, gdy dorastają.

Natomiast gdy chowano wielkiego Władka — płakałem.

Z Mińska przyjechały rosyjskie ciężarówki z ustawionymi na szoferkach kulomiotami. Przede wszystkim zabrali milicjanta, który był z Władkiem, a którego tamci zostawili żywego. Nikt nie wiedział co się z nim potem stało. Nikt o nim więcej nie słyszał.

NKWD biegało od domu do domu. Księgarza Malczewskiego, który próbował uciekać, zastrzelili. Przesłuchania odbywały się na miejscu, w Dobrem, w pięknym wybudowanym przed samą wojną budynku szkolnym, przed którym stało jeszcze popiersie marszałka Piłsudskiego. Pani Ciokowa próbowała interweniować w sprawie synów księgarza Malczewskiego. Jeden miał szesnaście, a drugi wszystkiego czternaście lat. Ludzie słyszeli jak ich bito. Ale pani Ciokowej nie wpuszczono do budynku. Powiedziano jej, żeby nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy, bo i za nią się wezmą.

Później ciężarówki udały się jedne w kierunku Węgrowa, a drugie Jakubowa. Przez dwa dni słychać było w lasach strzelanie. Zaraz po akcji majora Motkowa wysłano na front, na pierwszą linię. Jego ordynans „Cap-carap” nie wrócił z oblawy w okolicy Jakubowa. Szukano jego ciała, ale nie było go również wśród zabitych. Przepadł jak kamień w wodę.

Frydowie wyjechali do Mińska zaraz następnego dnia po napadzie. Mama była w gorszej sytuacji. Nie miałyby z czego żyć w Mińsku. W Dobrem mieliśmy przynajmniej swoje mieszkanie i można było się jakoś utrzymać z przerabiania sukienek i handlu drożdżami. A co mogłaby mama robić w Mińsku, gdzie były i sklepy z drożdżami i prawdziwe krawcowe?

— Przecież nic nikomu nie zrobiliśmy — mówiła mama — więc czego mamy się bać? Nawet pieniędzy nie mamy...

Mama każdemu mówiła, że na nas nie było napadu.

— Strzelali w okna, bo chcieli wejść na posterunek! O posterunek im chodziło, nie o nas...

Być może rzeczywiście o nas im nie chodziło. Ale czego chcieli od Frydów? Przecież Frydowie też nic nikomu nie zrobili? Że mieli pieniądze? Nie tylko Frydowie mieli pieniądze w Do-

brem. Dlaczego nie pobiegli do innych, którzy mieli pieniądze? Dlaczego tylko do Frydów? I dlaczego nikt się temu nie dziwił? Nikt nawet nie zapytał — dlaczego? Dlaczego nawet mama się nie dziwiła?

W Dobrem wielu ludzi miało pieniądze. Żydzi zostawili tu wszystko. Kamieniczki, sklepiki, towary — i te które mieli w sklepach i te które mieli schowane — meble, sprzęty, a nawet odzież. Nasi kuzyni Szczepańscy zostawili u pani Ciokowej całe worki cukru i mąki, ojciec Frydowej, Ajzyk, wszystkie swoje łokciowe towary. Pani Ciokowa była porządną kobietą, więc gdy Ajzyk lub ktokolwiek z jego rodziny przychodził w nocy, dostawał chleb, cukier, maść przeciw świerzbowi i inne lekarstwa. Ale gdy Ajzyka złapali i kiedy zginęła siostra Frydowej i bracia — nikt więcej nie przychodził. Szczepańscy zaś nie zgłosili się nigdy, pojechali do Treblinki od razu.

A ile towarów zostawiono u Szczęsnego, u Zbrzeźnego, u Bodeckich? A ile u Bóbrów? Pewnego razu wpadli do Dobrego „czarni” i zrobili u Bóbra rewizję. Dwie ciężarówka załadowali towarami. Bóbrówna, która była bardzo ładną dziewczyną i modnie się ubierała, wsiadła z nimi do szoferki. Za pół godziny ciężarówka, do której wsiadła Bóbrówna, wróciła i towary z powrotem wyładowano.

Ludzie w Dobrem nie byli potworami i niektórzy szczerze współczuli Żydom. Ale w gruncie rzeczy byli zadowoleni. Nawet ci, którzy współczuli. Tyle miejsca się zwolniło w miasteczku. I tyle różnego dobra. Nie mogli nie odczuć cichego zadowolenia. Nawet najlepszy, którym było przykro przed samymi sobą się przyznać. Niemcy o tym wiedzieli i z pewnością — liczyli na to.

Żydzi zostawili wszystko, bo myśleli że wrócą. Ci, którzy uciekli ze Stanisławowa przed wywiezieniem do Treblinki, zakradali się później nocami do swoich znajomych i oddawali resztę wartościowych rzeczy, które mieli przy sobie, za jedzenie i za lekarstwa. Apteka w Dobrem prosperowała jak nigdy. Prosperowały również jak nigdy przedtem były żydowskie sklepiki. Handel odbywał się za niemieckimi plecami. Ze wsi przychodziła żywność, którą chłopci ukrywali przed Niemcami, a kobiety z Dobrego woziły ją aż do Warszawy. Przez „zieloną granicę” przywożono tkaniny z Łodzi. W Warszawie i w Łodzi były dwa największe żydowskie getta. W tak wielkich gettach nie mało było bogatych Żydów, którzy „przyciśnięci do muru” — dosłownie! — oddawali za trochę żywności najcenniejsze rzeczy lub złoto. Więc nigdy przedtem Dobrze nie chodziło tak dobrze ubrane, nie jadło tak dostatnio i tak ładnie nie mieszało. A kto wrócił, żeby swoje rzeczy odebrać? Ile sukienek z tych, które przynoszono do prze-

robienia, mama rozpoznawała?... Kto wrócił do Dobrego? My, Nusenowie, Frydowie — nikt.

Gdy Frydowie wyszli po dwóch latach z kryjówki pod piekarnią, z tego grobu, w którym byli żywcem zakopani, myśleli, że po tym jak tyle przecierpeli i jednak pozostali przy życiu — prawie sami z całego miasteczka — to wszyscy im będą współczuli, dodawali otuchy, może nawet cieszyli się nimi... A tymczasem tamci nie pobiegli po pieniądze do innych tylko do Frydów, dlatego, że Frydowie byli Żydami. A jak Żyd ma pieniądze — to każdy myśli, że ma prawo mu je odebrać.

Dlatego nie chciałem być Żydem. Nie chciałem być Żydem jeszcze bardziej niż przedtem, gdy nie wolno mi było wspominać ojca ani dziadka, ani prawdziwego imienia, którym mnie wołali, ani żadnego słowa, które kiedykolwiek do mnie powiedział. Jeszcze bardziej niż wtedy, gdy ksiądz uczył mnie, jaką krzywdę Żydzi wyrządzili światu... Bardziej niż wtedy, gdy wróciliśmy i ludzie uważali, że to nie jest normalne, że pozostaliśmy żywi. I nawet bardziej niż wtedy, gdy okazało się, że nie wolno nawet się pytać — kto zabił mojego ojca?

Nie tylko klękałem przy łożku i odmawiałem codzienną modlitwę. Nie opuszczałem lekcji religii, na które wolno mi było nie chodzić. I uczyłem się religii lepiej niż ktokolwiek w klasie. Razem z wszystkimi siedłem przed lekcjami do szkolnej kaplicy i śpiewałem. Razem z wszystkimi wstawałem po lekcjach, zęgnąłem się znakiem krzyża i mówiłem: — „Dzięki Ci, Boże, za światłość tej nauki...” Wykładałem się w niedzielę do kościoła, gdzie ludzie przyglądali mi się z zainteresowaniem, pokazywali mnie sobie wzrokiem i mówili „biedne dziecko...” Gdy nikogo w kościele nie było, klękałem przed malowanymi postaciami na ołtarzach i prosiłem, żeby choć raz użyły swojej wszechmocnej władzy i sprawiły, żebym nie był Żydem. „Dobrzy święci — szeptałem — czy nie dość wam, że zabito mojego ojca i małego brata, obu dziadków, babki, ciotki, wujków, kuzynów? Którzy przecież nic nie zawinili. Czy nie dość wam jeszcze? Czego jeszcze chcecie? Zastanówcie się! Jestem pewny, że Pan Jezus, nigdy by się na to nie zgodził...”

Pewnego dnia przyszła wiadomość, że wreszcie wzięto Warszawę. A zaraz potem Łódź. Dowiedzieliśmy się też, że Gopin został zdegradowany. Puścił do domu AKowców, którzy złożyli przed nim broń; nie oddał ich do NKWD.

Lejtnant Szejn poległ pod Warszawą. Frydowie i Nusenowie przenieśli się z Mińska do Łodzi.

## CZEŚĆ DRUGA

Zadedykowana pamięci mojego ojczyma.  
Askera Uszera Powązka.





Mama nawet nie próbowała sprzedać naszej części kamienicy. Takie rzeczy bardzo ludzi drażniły i były niebezpieczne. Jakiś Żyd przyjechał do Mińska, żeby sprzedać dom i przyplacił to życiem. Ludzie zdążyli się już przyzwyczaić, że dawni właściciele nie żyją i że sami są właścicielami domów, w których mieszkają. Wprawdzie w naszej części kamienicy nikt inny nie mieszkał tylko my, ale mama bałaby się wyjeżdżać z Dobrego z pieniędzmi. Sprzedała więc jedynie maszynę do szycia i wyjechaliśmy, gdy tylko skończyły się mrozy.

Jechaliśmy przez Warszawę. Ale nawet nie zatrzymaliśmy się. W Warszawie nie było domów, piętrzyły się tylko postrzępione, dziurawe ściany, przez które prześwitywało niebo. Przeszliśmy pieszo przez drewniany most, na którym rosyjskie żołnierki dyrygowały ruchem. Nie było ulic. Szliśmy po kładkach przerzuconych nad kupami gruzu. Wojskowe ciężarówki skakały po wysokich garbach ugniecionej czołgami cegły.

Tam, gdzie kiedyś paliło się getto, nawet ściany nie pozostały. Tylko wysoko usypana równina gruzów. Przekopana wśród tych gruzów droga wyglądała jak wąwóz w egzotycznym skalistym krajobrazie. Mama opuściła głowę, żeby nie widzieć.

W Łodzi niewysokie, ciemnoszare domy stały równo, mocno, jeden za drugim, pokryte starym, przedwojennym kurzem. Tramwaje miały na niebiesko pomalowane szyby, ale dodawało im to tylko uroku. Na wystawach sporo już było towarów z amerykańskich i angielskich paczek i wszystkimi ulicami wartko płynęły wypełnione po brzegi, tętniące życiem rynsztoki.

Zatrzymaliśmy się u Nusenów i Frydów, którzy wspólnie z dwoma braćmi Majnemerami i ich siostrą Belcią z Mińska Mazowieckiego zajmowali mieszkanie składające się z kuchni, łazienki i czterech pokoi w amfiladzie.

Każdy z tych pokoi umeblowany był na inny kolor — kawowy, kremowy, kakaowy i czekoladowy. W pierwszym pokoju stał

wielki, błyszczący fortepian, a podłogi były ze lśniącego i lekko skrzypiącego parkietu. Nawet dziedziec w Radoszynie nie miał takiego mieszkania.

Ani takich mebli. Łóżka były szerokie, ze sprężynowymi materacami. Przy każdym łóżku stała nocna szafka, na każdej szafce nocna lampka. Toaletki z dużymi lustrami, a przy każdej miękko wyściełany taboret. Na kredensach, toaletkach, komodach figurki z porcelany lub ciężkie szklane kule z zamkniętymi w nich fantazyjnymi kształtami. Żyrandole poobwieszane kryształkami o kształtach płatków, trójkątów i ściekających sopli. Na ścianach obrazki i makatki przedstawiające dobrze odżywione dziewczynki z anielskimi, niebieskimi oczami i chłopczyków ubranych w zgrabne, krótkie spodenki, kolorowe kaftaniki i kapelusiki, jak również obrazki i makatki w zakochane łabędzie, sarny, jelenki, leśne strumyki, a nawet w krasnoludki. Makatki, na których były niemieckie napisy leżały na podłodze odwrócone na lewą stronę i służyły do wycierania nóg.

Takich mieszkań było bardzo wiele wtedy, gdy Nusenowie i Frydowie przyjechali do Łodzi. Były prawie nienaruszone, bo pilnowali ich żołnierze, a żołnierze, ani Rosjanie ani Polacy, tych rzeczy nie potrzebowali. Rosjanie szukali tylko wódki, wody kolońskiej i zegarków, żołnierki przepadały głównie za jedwabiem, ubierały się w długie, różowe nocne koszule myśląc, że to suknie wieczorowe. Zaś Polakom, którzy tych mieszkań pilnowali, chodziło tylko o pieniądze. Na drzwiach wywieszali karteczkę, że mieszkanie zostało zajęte przez kaprała, plutonowego lub sierżanta takiego i takiego i każdy wiedział, że trzeba było danego kaprała czy sierżanta odszukać, zapłacić odpowiednią sumę i można było się wprowadzać. Kapralowi płacono pięćset złotych, plutonowemu trochę więcej, sierżantowi zaś tysiąc. Ale też i wartość mieszkania była proporcjonalna do rangi. Tysiąc złotych płacono sierżantowi, ale za takie mieszkanie jak Frydów, Nusenów i Majnemerów — z telefonem i fortepianem.

Ja i Izak Fryd szperaliśmy po strychach i piwnicach, gdzie znajdowaliśmy maski gazowe, wojskowe plecaki i nesesery, okulary motocyklowe, bagnety, stopy przeróżnych papierów, zdjęć, zeszytów i książek i albumy znaczków pocztowych. Przyglądaliśmy się postaciom na zdjęciach, rysunkom na znaczkach pocztowych i pozapisywanym niezrozumiałym pismem papierom. Wpatrywaliśmy się w litery pisane szybko albo powoli, zamasyście lub bardzo starannie, ołówkiem lub atramentem czarnym, niebieskim, zielonym. Patrząc na te papiery miało się wrażenie, że

i one patrzyły swoimi milczącymi, niezrozumiałymi, zezowatymi literami — zimno się od tego robiło. Przyglądaliśmy się im, po czym darliśmy w drobne strzępy, a fotografiom wydubywaaliśmy oczy.

Rozbijaliśmy figurki o bufiastych krynolinach, porcelanowych pastuszków z flecikami, kubki, filiżanki i talerze, na których były wymalowane rumiane, pucołowate twarze. Rozbijaliśmy nawet krasnoludki. Przyglądaliśmy się pod światło szklanym kulom, w których mieniły się owe nieokreślone kształty, po czym z rozmachem rozbijaliśmy je o beton trotuaru. Nic właściwie w ich środku nie było. Darliśmy nawet kolorowe obrazki z cudownymi afrykańskimi zwierzętami. Zachowywaliśmy tylko wojskowe pasy, maski gazowe, okulary motocyklowe, bagnety.

Coraz więcej ludzi przyjeżdżało do Łodzi, gdzie najłatwiej było zacząć życie na nowo. Przede wszystkim przybywali Żydzi. Chodziliśmy z Izakiem po ulicach i przyglądaliśmy się przechodniom. Jeśli zobaczyliśmy kogoś bardzo bladego, chudego, o dużych, smutnych oczach, zastępowaliśmy mu drogę i pytaliśmy — *Amchu?* Jeśli nie wiedział, co to słowo znaczy, przepraszaliśmy i uciekaliśmy. Ale zdarzało się, że zagadnięty zatrzymywał się i wołał — Tak, *Amchu!* — i przeżywaliśmy wielką radość. Był nasz! Dumni z tego sukcesu prowadziliśmy go do domu, gdzie wszyscy siadali dokoła i on nam, a my jemu opowiadaliśmy o tym, skąd się wzięliśmy i w jaki sposób osiągnęliśmy to, że żyjemy, więc ktokolwiek by to nie był, zawsze mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Nie przestawaliśmy chodzić po ulicach i szukać — stało się to naszą namiętnością.

Szukaliśmy również w gruzach getta, bo getto było zburzone, przeszukiwaliśmy na wpuł zasypane piwnice. Spotykaliśmy dzieci, które kiedyś w tamtych domach mieszkały. Każdą rzecz, którą tam znaleźliśmy uważaliśmy za relikwię i odnosiliśmy do domu każdy zardzewiały garnek i złamany lichtarz. Tylko wygrzebane z gruzów fajerki przeznaczaliśmy do zabawy, dorabialiśmy do nich druciane pałaki i z przeraźliwym hałasem toczyliśmy je po brukowanych kocimi łbami ulicach.

Tam właśnie, w ruinach getta, w przysypanej piwnicy znaleźliśmy Niemca.

— Niemiec! — zawołaliśmy — Niemiec!...

Nadbiegli ludzie, zeszli do piwnicy i wyciągnęli go stamtąd za włosy. Miał długie, dawno nie strzyżone włosy, ale zarostu na twarzy nie miał. Może się codziennie golił, a może nie miał zarostu, bo był za młody. Miał na sobie podarty mundur i oślepiony słońcem to mrużył to wytrzeszczał oczy, którymi nic nie widział. Zbiegło się jeszcze więcej ludzi.

— Niemieckiego szczura złapali! — wołali ludzie. — Patrzenie jak boi się światła! Jak wytrzeszcza oczy!

Chwycili Niemca za włosy i za nogi i zaczęli go ciągnąć po gruzach. Niemiec zaczął krzyżeć. Z czoła, w miejscu, gdzie zaczynały się włosy ciekła mu krew.

— Na policję z nim! — wołali ludzie. — Na policję!

Zbiegał się coraz większy tłum ludzi, a Niemiec coraz głośniej krzychał.

— Co on się tak drze! — wołali ludzie. — Jak oni naszych mordowali, to nie było krzyku...

Niemiec krzychał jak opętany, krzychał w taki okropny sposób, że trudno było znieść. Ktoś nie wytrzymał i rzucił kawałkiem cegły. Inni również się schylili po cegły. Ludzie, którzy Niemca ciągnęli, odstępili na bok. Wszyscy wzięli do ręki cegły. Niemiec ucichł, potem umilkł zupełnie. Ludzie nic nie mówili, tylko rzucali. Słychać było tylko suche trzaskanie cegieł. Kiedy nadeszła milicja, kupa cegieł leżała tam, gdzie przedtem leżał Niemiec i krzychał, kupa gruzu jak wszędzie dokoła.

Następnego dnia zatrzymaliśmy na ulicy małego chłopca w okularach. Nie znaleźliśmy go, zapytaliśmy co jest za jeden, a on się przestraszył i zaczął wołać przeraźliwymi, gardłowymi okrzykami.

— Niemiec! — zawołaliśmy — Niemiec!...

Otoczyliśmy go, wszystkie dzieci z ulicy, przycisnęliśmy go do ściany i zaczęliśmy okładać pięściami. Kopaliśmy go, szarpali i wrywaliśmy mu włosy. Okulary mu spadły na ziemię, a my rozdeptaliśmy je nogami. Miał oczy nieprzytomne ze strachu i cały czas krzychał owymi niezrozumiałymi dźwiękami. Krew, która ciekła z nosa, wsączała mu się do otwartych ust, krzyżąc połykał ją, krztusił się i z jeszcze bardziej przeraźliwym wysiłkiem krzychał rozpaczliwie zasłaniając głowę rękami.

— Co robicie, łobuzy? — zaczęli wołać przechodnie. — Przecież zabijecie dzieciaka!...

— To Niemiec! — zawołaliśmy — Niemiec!...

— Niemiec?... Ale to przecież jeszcze dziecko...

— To jest Niemiec! — odpowiedzieliśmy. — Niemiec!

— Dobrze tak! — zawołali inni przechodnie. — Niech dadzą Niemcowi, niech mu dobrze dadzą! Mało oni naszych dzieci namordowali?! Niech mu dadzą za swoje, niech ma!...

Biliśmy więc jeszcze zawzięciej. Walczyliśmy pomiędzy sobą, żeby móc się do niego przedostać, żeby znaleźć się jak najbliżej i jak najwięcej razy uderzyć. Nagle jakaś kobieta wybiegła z bramy.

— Ludzie, co wy robicie?! Zlitujcie się, na Boga! To nie

żaden Niemiec, to mój! Moje biedne dziecko, niemowa! Czy wy Boga w sercu nie macie, ludzie!... — Chwycała chłopca na ręce gładząc jego jasne włosy, które ponaciekały już krwią.

Patrzyliśmy na nią bezradnie. — Myśmy nie wiedzieli... Myśleliśmy, że to Niemiec...

Już nie miałem więcej do Boga pretensji o to, że urodziłem się Żydem. Cieszyłem się, że nie urodziłem się Niemcem i codziennie dziękowałem mu za to.

Nusenowie, Frydowie i Majnemerowie mieli stragan z łokciowizną na Zielonym Rynku. Na rynku był duży ruch i Nusenowie, Frydowie i Majnemerowie robili duże obroty. Mężczyźni przywozili ciężkie bele tkanin na dwukołowym wózku, do którego się zaprzęgali jak konie, a kobiety stały przy straganie i sprzedawały. Kiedy mężczyźni nie byli zajęci transportowaniem towaru, również stawali przy straganie, rzucali na stół ciężkie sztuki samodziałowej wełny, płótna pościelowego i koszulowego, odmierzali drewnianym łokciem i cięli.

Mama pomagała w ten sposób, że jeździła do Zgierza i Pabianic do tamtejszych hurtowników i zamawiała towar. „Hurtownicy” produkowali płótna i wełny-samodziały w małych fabryczkach, które pracowały na kilku, najwyżej kilkunastu krosnach, ale pracowały one dzień i noc i produkowały znacznie więcej niż im pozwalano. Prowadzili je Żydzi, do których one dawniej należały lub — co się o wiele częściej zdarzało — odziedziczyli je po zamordowanych krewnych. Władza mogła łatwo poznać po ilości towaru na Zielonym Rynku, że warsztaty produkują więcej niż było zarejestrowane, ale może nie śmiała jeszcze dokuczać Żydom. Zresztą władza miała w tym czasie ważniejsze sprawy. A poza tym była przekupywana.

Chłopi, którzy przyjeżdżali na Zielony Rynek z wozami pełnymi żywności, tłoczyli się przy straganie Nusenów, Frydów i Majnemerów, którzy mierzyli, targowali się z nimi, krzyczeli i oblewali się potem.

Ja i Izak przywoziliśmy z domu jedzenie w kociołkach i biegaliśmy po lemoniadę. Gotowaniem zajmowała się Belcia. Przywożono jej prosto z rynku świeży nabiał, drób i jarzyny wytargowane w wymiennym handlu od chłopów. Wieczorem na kolację była wątróbka siekana z cebulą, rosół z prawdziwie żółtym, wielojajecznym makaronem, nadziewana mąką i kurzym smalcem szyjka zwana „mejgele”, cymes z marchewki, kompot z suszonych jabłek i śliwek. Przy takiej kolacji wspominało się zimne i dżdżyste noce, gdy trzeba było skradać się do chłopskich chałup

po trochę gotowanych z łupinami kartofli. Posyłano wtedy mnie i Izaka po jeszcze kilka butelek najdroższej lemoniady, a za resztę pozwalano nam kupić sobie lodów albo cukierków. Potem wyspywano na stół wielki stos brudnych, pogniecionych banknotów, układano je, liczono, dzielono.

W ostatnich dniach kwietnia ludzie gromadzili się na Placu Wolności przy głośnikach nadających komunikaty z frontu. Chłopcy z gazetami biegali po ulicach i wołali: „Berlin zdobyty — Hitler zabity”, „Rzeczpospolita — Hitler wyciągnął kopyta!”. Wrywano im gazety z rąk. Zaczęły się uroczyste parady z udziałem wojska i młodzieży. Parada szła za paradą — pierwszego maja, trzeciego maja, dziewiątego maja.

W milczeniu patrzyli ludzie na wojsko defilujące w brzydkich, rosyjskich owijaczach, lichych mundurach i z orzełkami pozbawionymi korony. Za to powszechny entuzjazm wzbudzało maszerujące w wojskowym szyku harcerstwo w nowiutkich mundurkach, kolorowych chustach i czapkach z lilijkami.

— Jak oni zdążyli tyle tego wyprodukować? — dziwili się Majnemerowie, Nusen i Fryd.

— Jak chcą to wszystko potrafią... Nie rozumiesz? Nie widzisz o co tu idzie?...

Czternastoletni chłopcy mieli na nogach grube getry i wojskowe kamasze, przy pasach niemieckiego pochodzenia bagnety. Na czele hufców szli poobszywani harcerskimi sprawnościami wcale niemłodzi ludzie.

— Niech żyje nasze harcerstwo! — wołano z chodników. — Nasza przyszłość, nasza nadzieja! Nasza prawdziwa Polska!...

Harcerze prostowali się i uderzali defiladowym krokiem, spoglądali prosto w oczy zebranych na chodnikach ludzi — tak, to my jesteśmy wasza nadzieja, wasza Polska, wasze jedyne wojsko...

Potem szła młodzież cywilna z białoczerwonymi, czerwonymi i zielonymi chorągwiami. Szli ulicą Piotrkowską, która za Niemców nazywała się ulicą Hitlera, aż do Placu Wolności, który za Niemców nazywał się placem Hitlera. Szli i śpiewali:

„Idziemy, idziemy znów Piotrkowską, wydusim tę bandę hitlerowską!”

A ludzie na chodnikach wtórowali: — Wydusim tę bandę hitlerowską!...

„Z Piotrkowskiej pójdziemy na Sterlinga, powiesić Goebelsa i Goeringa!” — kontynuowali maszerujący, a wszyscy powtarzali: — Powiesić Goebelsa i Goeringa!

„Ze Sterlinga pójdziemy do Berlina, powiesić Hitlera, skurwysyna!” — Powiesić Hitlera, skurwysyna! — wołali wszyscy ludzie.

Staliśmy razem na ulicy, ja z mamą, Frydowie i Nusenowie.

— Dzięki ci Boże, że pozwoliłeś nam żyć i być świadkami dzisiejszego dnia... — powiedział po hebrajsku Fryd. Były to słowa starej, żydowskiej modlitwy.

W tych dniach powszechnego uniesienia Belcia Majneme-równa wyszła zamąż. Wyszła za człowieka, którego ja i Izak zatrzymaliśmy raz na ulicy i zapytaliśmy: *Amchu?*

Żydzi się wtedy pobierali szybko i kto tylko miał z kim. Wdowcy z wdowami, inwalidzi z inwalidkami, ślepi z kulawymi, sparaliżowani z gruźliczkami. Znajomy z sąsiedniego domu, stary kawaler i garbaty, ożenił się z ładną, młodą dziewczyną, która wróciła z Rawensbrück z uschniętą nogą. Spieszono się. Każdy się bał, że nie starczy dla niego partnera. A nikt nie chciał pozostać sam. Każdy człowiek, za którego można było wyjść zamąż był na wagę złota, więc nie przebierano. Przy tym nie wszyscy byli tak młodzi jak Belcia, musieli się spieszyć. Ich najlepsze lata już dawno minęły. Potracili dzieci, a wcale nie mieli pewności czy Bóg, którego tak długo nie było, okaże się jeszcze dla nich łaskawy. Jeśli zaś na pewno nie mogli liczyć na to, że będą mieli dzieci, to usiłowali sobie nawzajem zastąpić ojca, matkę, siostrę lub brata. Jeszcze nigdy małżeństwo nie było tak cenną rzeczą. Było po prostu ratunkiem.

Ślub Balci i Mońka odbył się nie przed domem, jak każe obyczaj, ale w mieszkaniu. Ludzie nie mieli już odwagi wychodzić ze swoimi żydowskimi obyczajami na ulicę. W stołowym pokoju rozpięto wzorzystą poniemiecką kapę, którą cztery osoby trzymały za rogi. W zastępstwie nieżyjących rodziców wprowadzili Belcię pod baldachim jej bracia. Narzeczony, Moniek, nie miał zupełnie nikogo, więc ujęli go pod ręce Nusen i Fryd. Potem Moniek na głos zmówił modlitwę za swoich nieżyjących rodziców i wszystkich najbliższych krewnych. Nie była to wesoła uroczystość. Gdy Moniek zmówił Kadisz, kantor wysokim tenorem prosił Boga o miłosierdzie, a w takiej chwili znowu wszyscy Żydzi płaczą, bo nikt nigdy nie potrzebował tyle boskiego miłosierdzia co Żydzi. Nikt też, biorąc ślub, nie bierze na siebie tyle odpowiedzialności, co Żyd. Więc ślub żydowski w ogóle nie może być wesołą uroczystością. Nikt nie ma tyłu zmarłych do opłakiwania. A z całą pewnością nikt inny nie miał ich tyłu w maju czterdziestego piątego roku.



Po ślubie Belcia z Mońkiem zamieszkali w stołowym pokoju i mama musiała poszukać dla nas mieszkania. Nie było już wolnych mieszkań przy lepszych ulicach, ani tak umeblowanych jak mieszkanie Nusenów, Frydów i Majnemerów. Mama dostała pokój z kuchnią w pobliżu dawnej fabryki Poznańskiego. Była to właściwie część większego mieszkania z dwoma wejściami, z frontu i z oficyny. Część frontowa, z balkonem, była zajęta przez państwa Gaworczyków, lecz my za to, choć od oficyny, mieliśmy kuchnię i łazienkę. Wprawdzie w łazience nie było już ani wanny ani pieca do grzania wody, ale nie musieliśmy schodzić na podwórze do ubikacji i po wodę. Mama dziwiła się, że Gaworczykowie zgodzili się na mieszkanie bez bieżącej wody, przecież trzeba prać, sprzątać, gotować.

— Całe życie chodziłam po wodę — odpowiedziała pani Gaworczykowa — i cały czas mieszkaliśmy od tyłu, gdzie nigdy nie było słońca. Mówią, że teraz mają być lepsze czasy dla nas, dla robotników, to niech będzie i te trochę słońca w domu...

Obaj Gaworczykowie, ojciec i syn pracowali u Poznańskiego. To że mieszkaliśmy z nimi przez drzwi, było zaletą mieszkania. Różni nieznajomi odwiedzali ludzi w mieszkaniach i ludzie niepewnie się czuli w swych nowych mieszkaniach sami, zwłaszcza Żydzi. Poza tym mieszkanie, które się kupiło trzeba było umieć zatrzymać. W parę dni po tym jak wprowadziliśmy się, przyszedł ktoś, kto zapłacił temu samemu żołnierzowi co mama i zażądał, żebyśmy opuścili mieszkanie. Na szczęście obaj Gaworczykowie byli w domu, wzięli gościa pod pachy i zepchnęli ze schodów. Mama zaraz poszła do urzędu kwaterunkowego, żeby dostać oficjalny przydział. Nie chciano wydawać przydziałów ludziom, którzy się bezprawnie wprowadzili — urzędników też trzeba było przekupywać. Mama jednak opowiedziała towarzyszkowi Jasińskiemu, starszemu człowiekowi, który był szefem wydziału kwaterunkowego, niektóre nasze przeżycia z czasu okupacji i dostała przydział. Przydział wydano mamie w dwóch egzemplarzach, a Jasiński kazał jej jedną kartkę przybić na drzwiach, a drugą dobrze schować.

Tak jak przewidywano kartka z drzwi została zerwana, ale gdy zaraz potem ktoś przyszedł — tym razem z milicjantem, któremu za to zapłacił — mama wyjęła drugą kartkę z pieczęcią i podpisem Jasińskiego i pokazała. Człowiek w mundurze milicjanta zażądał, żeby mu mama dała tę kartkę do ręki, ale na to mama się nie chciała zgodzić, pokazała ją tylko z daleka. Od tej pory był spokój.

Wkrótce sprowadził się do Łodzi Aron z żoną i z dzieckiem, a razem z nim przyjechał z Mińska Mazowieckiego Adek, który wprawdzie nie odnalazł nikogo z rodziny, ale przywiózł z sobą narzeczoną. Miała ona brata Stefka, o parę lat starszego ode mnie. Narieczona Adka sama miała wszystkiego szesnaście lat. Przeżyła jako zakonnica w klasztorze. Stefka, który był obrzezany, zakonnice bały się trzymać w klasztorze i oddały go partyzantom do lasu, gdzie tylko dowódca wiedział, że Stefek był Żydem. Adek i jego narieczona starali się w Łodzi o papiery na wyjazd do Francji i zatrzymali się u nas. Mamie było to na rękę, bo zaczęła w tym czasie jeździć z Aronem na Zachód i nie miałyby z kim mnie zostawić.

Z Zachodu przywożono naczynia kuchenne, zastawy stołowe, bieliznę pościelową, kapy, ręczniki, obrusy, maszynki elektryczne a nawet radia i rowery. Te wartościowe rzeczy dostawało się od Niemców za mąkę, słoninę i papierosy. A czasem zupełnie darmo. Ludzie po prostu wchodzili do domów i zabierali co chcieli. Jeśli potrzeba było pomocy prosili pierwszego lepszego żołnierza za paczkę papierosów. Żołnierz nie tylko zaprowadził gdzie trzeba, ale i gdy trzeba było, otworzył kolbą drzwi.

— Bierzcie ludzie, co tylko chcecie! — mówili żołnierze. — Bierzcie i nie pytajcie! I nie litujcie się! To i tak nie ich! To rabowane!...

Rzeczywiście, nie tylko niemieckie rzeczy przywożono z Zachodu, ale i francuskie, belgijskie, holenderskie, czeskie. Ludzie brali. — To i tak mało za to co im się należy! — mówili opróżniając niemieckie komody i szafy. Mama tak jednak nie mogła, zawsze coś w zamian dawała.

Aron przywoził mi kompas, gwizdki i fińskie noże i odbywał ze mną rozmowy.

— Pamiętasz jak cię wiozłem zawszonego z lasu, z ziemianki do Warszawy? — pytał. — Pamiętasz, jak szliśmy w biały dzień? Koło młyna? Na moście stał żandarm i jeden chłop z furą czekał na swoją kolejkę do młyna. Ty nie pamiętasz, ale ja pamiętam jak ten chłop oczy wytrzeszczył, kiedy nas zobaczył... Ja go dobrze znałem, kiedyś konie mu sprzedawałem. Gdyby ten chłop pisnął jedno słowo, byłoby po nas. Zdjąłem czapkę i powiedziałem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” Potem kazałem i tobie zdjąć czapkę i ukłonić się żandarmowi. „Ukłoń się ładnie panu żandarmowi”, powiedziałem. I przeszliśmy jakby nigdy nic. Nie oglądając się za siebie ani razu, bo nie wolno się było obejrzeć... A przecież skąd można było wiedzieć, co tam działo się, za naszymi plecami? Może żandarm patrzył za nami, może już zdejmował karabin?... Skąd można było wiedzieć, co zrobi ten chłop, któ-

remu ja kiedyś sprzedawałem konie? Przecież różni bywali chłopci. Może nie były dość dobre te konie, które mu sprzedawałem?... A w dwa tygodnie potem Niemcy przyszli do ziemianki, gdzie był twój dziadek i babcia i obie ciotki i mały Hill... I ciebie też już by nie było, gdybym cię wtedy nie zabrał stamtąd. Był to najwyższy czas. A nikt inny nie umiałby tego zrobić. Nie wiedziałby, gdzie, kiedy i jak. I nikt by się nie chciał narażać. Z dzieckiem?... Nikt inny by tego nie zrobił. Więc powiedz, czy chciałbyś, żebym został twoim ojcem?...

— Tak, chciałbym.

Aron chciał, żeby mama z nim wyjechała daleko na Zachód i żebyśmy tam zostali. Wielu ludzi wyjeżdżało i nie wracało. Niektórzy żenili się tam z Niemkami. Nawet Żydzi. Kobiet było tam bardzo dużo, prawie same kobiety. Wchodzili do mieszkań, o jakich im się nawet nie śniło, znacznie lepszych niż w Łodzi. Schludne, dobrze wychowane kobiety ofiarowywały im ubrania swoich mężów, ojców i braci. Prały im onuce, czyściły buty, nogi im myły, żeby tylko nie odchodzili i nie zostawiali ich znowu samych. Opowiadały jak bardzo były samotne przez te ostatnie lata. A najlepsze były dla Żydów! I chłopców to brało za serce. Zwłaszcza tych, którzy przyszli z Rosji, którzy nigdy nie widzieli takich mieszkań, takich kobiet, ani tego wszystkiego, co Niemcy robili z Żydami.

— Ale ja przecież byłem w Polsce i widziałem — mówił Aron. — Więc czy ja mógłbym ożenić się z Niemką?...

— O czym ty mówisz, Aron? Przecież masz żonę i dziecko!... — odpowiedziała mama.

— Kiedy to nie jest żona dla mnie... Ożeniłem się bo musiałem, wszyscy o tym wiedzą. Co ja mam z nią wspólnego? Nawet nie wiadomo, czy to dziecko jest moje... Inni tak samo z nią spali. Gdybym wiedział, że ciebie jeszcze spotkam... Przecież ja twój małego kocham jak własnego syna. Czy nie uratowałem go? A dla kogo myślisz ja to zrobiłem? Dla ciebie...

— Nie możesz zostawić kobiety z dzieckiem, samej — odpowiedziała mama. Myślała sobie bowiem, że jeśli Aron może zostawić jedną kobietę z dzieckiem, to mógłby zostawić później i ją. Zwłaszcza gdyby spotkał jakąś młodszą i bez dziecka.

Gdy mama była w domu, Adek z narzeczoną sypiali w kuchni na słomianym sienniku, gdy wyjeżdżała przenosili się do pokoju, gdzie ja spałem ze Stefką, a oni w łóżku mamy. Wieczorem i rano słychać było trzeszczenie w tamtym końcu pokoju. Narzeczonej Adka sprzątała nam i gotowała i chodziła w samej,

bardzo krótkiej, koszuli, oczywiście gdy nie było mamy. Kiedy siadaliśmy do stołu, Adek cały czas jedną ręką trzymał ją za uda. Właściwie nie byli narzeczonymi. Uważali się za małżeństwo i wszyscy ich tak traktowali, a nie brali ślubu, bo szybciej się dostawało papiery na wyjazd dla pojedynczych osób niż dla całych rodzin.

Ja i Izak ciągle sprzeczaaliśmy się ze Stefkiem. Stefek chodził w dużej wojskowej rogatywce, która mu spadała na uszy i oczy, Izak Fryd w szarej bluzie z sześcioramiennym znaczkiem Szomer-Hacair, a ja nosiłem na ramionach kapitańskie pagony Gopina i sprzeczaaliśmy się o to, kto właściwie wygrał wojnę. Izak i ja byliśmy zawsze po stronie Rosjan, a Stefek po stronie Anglików i Amerykanów.

— Gdyby nie Ameryka — mówił — to by było po Rosji! Ameryka posyłała Rosji amunicję, konserwy, ciepłe ubrania i buty i wszystkie potrzebne materiały. Co by Rosjanie zrobili bez tego wszystkiego?!

— A co by zrobili Amerykanie razem ze swoimi butami, konserwami i Anglikami, gdyby nie było Rosjan? Kto by się bił? A Rosjanie jako żołnierze byli najlepsi i najodważniejsi!

— Tak jest! — potwierdzał Izak. — Wypijali sto gram spirytusu i szli! Nie patrzyli na nic!

— A potem w każdej bitwie było dwa razy więcej Rosjan zabitych niż Niemców... — odpowiadał Stefek.

— Bo czasem byli trochę za bardzo pijani...

— A za plecami szło NKWD i jak który za wolno biegł, to strzelało...

— Nieprawda! NKWD nie musiało ich wcale poganiać. Sami rzucali się z granatami podczołgi i własnym ciałem na karabiny maszynowe, a lotnicy nie wyskakowali z palących się samolotów, tylko spadali na Niemców razem z samolotem, żeby ich jak najwięcej zabić!...

— Po co rzucali się ciałem na karabiny maszynowe? Nie lepiej granatami? I po co się rzucali podczołgi? Naczołgi Amerykanie idączołgami, albo niszczą je z panzerfaustów. A dlaczego nie wyskakowali z samolotów? Bo jak kto stracił samolot, to NKWD rozstrzeliwało... Amerykanie mówili do żołnierzy: „Myczołg albo samolot robimy w dwadzieścia godzin, a na ciebie musieliśmy czekać dwadzieścia lat, więc nie patrz na samolot tylko siebie ratuj, ażebyś wrócił!” A u Rosjan zwykły karabin jest ważniejszy niż człowiek...

— Nie sztuka wygrać jak się ma tyleczołgów i samolotów.

— A posyłać żołnierzy na śmierć tysiącami to sztuka?! Aż Niemcom nie wystarczy amunicji, żeby strzelać...

— To nie wina żołnierzy, że ich posyłano. Pewno, że Niemcy ani Amerykanie by nie poszli. A Rosjanie szli!... Dlatego wygrali!

— Rosja ma zresztą najwięcej ludzi na świecie... — zauważył Izak. — Gdyby Palestyna choć dziesiątą część tego miała...

— Gdyby nie Rosjanie — powiedziałem — to nas by już nie było...

— Głupi jesteś! — odpowiedział Stefek. — Myślisz, że im o ciebie albo o mnie chodziło? Gdyby Niemcy na Rosję nie napadli, to Rosja stałaby sobie i patrzyła jak Niemcy mordują Żydów, Polaków i kogo tylko chcą i nawet palcem w bucie by nie kiwnęła!

Tego już ani ja ani Izak nie mogliśmy znieść i rzucaliśmy się na Stefka z pięściami.

Oczekiwanie na papiery się przedłużało i Adek doszedł do wniosku, że i on mógłby parę razy pojechać na Zachód, żeby zarobić. Mama się zgodziła, żeby pojechał zamiast niej, bo niezręcznie jej już było podróżować z Aronem.

Podróż tam i z powrotem miała trwać do tygodnia czasu. Tymczasem tydzień minął, a Adek i Aron nie wracali. Narzeczona Adka zaczęła się bardzo niepokoić. Mama ją uspokajała. Mówiła, że pociągi nieregularnie chodzą, brakuje węgla, wagonów i parowozów, które często się psują i pociąg czasem cały dzień stoi.

Adka narzeczona była jednak coraz bardziej niespokojna. Okazało się, że jest w ciąży. Mama jej mówiła, żeby się przestała martwić, bo to może zaszkodzić dziecku, ale nie pomagało. Przestała jeść, nie mogła spać, nie wychodziła z domu, tylko nasłuchiwała kroków na schodach i za każdym razem, gdy ktoś szedł, zdawało jej się, że to Adek idzie. Mama poszła na milicję.

Zatrzymywano w tym czasie pociągi w lesie, przed wjazdem na stację, na zwrotnicach, gdzieś w szczerym polu. Wyciągano z pociągów. Uzbrojeni ludzie przeglądali papiery, walizki i twarze. Komunistów i Żydów ciągnęli na lewą stronę. Mama i Aron jeżdżąc na Zachód posługiwali się swoimi fałszywymi aryjskimi Kennkartami z czasu okupacji i nigdy nikomu w drodze nie mówili, że są Żydami.

Adek nie miał takiej Kennkarty. Może i był podobny do Żyda, w każdym razie miał z lekka żydowski akcent. Adek myślał, że ma do czynienia ze zwyczajnymi bandytami. Wyciągnął do nich swój worek. — To jest wszystko co mam, macie, bierzcie! — Ale im nie o rzeczy chodziło. — Żyd!... — powiedzieli i zastrzelili go zanim zdążył zrozumieć.

— Czego oni od nas jeszcze chcą?! — zawołała mana. — Jeśli zabijają komunistów, to można zrozumieć, że robią to z politycznych powodów... Ale dlaczego Żydów?

— Trudno odpowiedzieć — odrzekł oficer śledczy. — Przyzwyczaili się, że Żydów się zabija...

Arona nie było w pociągu, którym wracał Adek, został na Zachodzie. Przyszła od niego kartka z Austrii. Pisał, że Austria to piękny kraj, że bardzo mu się tam podoba i że prawdopodobnie się wkrótce ożeni. Była Adka narzeczona i Stefek przyłączyli się do kibucu jadącego do Palestyny.

— Pamiętaj, nie rozpaczaj — powiedziała do niej mama. — Rozpacz nic nie pomoże, możesz tylko stracić dziecko, które w sobie nosisz, a tego dziecka nie wolno ci stracić! Myśl tylko o tym. Jesteś kobietą, a to jest twój najważniejszy obowiązek. Ważniejszy niż dla innych kobiet...

Po jakimś czasie nadszedł list z Cypru. Okazało się, że i austriackie małżeństwo Arona również krótko trwało. Stefek i jego siostra spotkali się z nim na Cyprze w angielskim obozie dla Żydów, którzy usiłowali nielegalnie dostać się do Palestyny. Z następnego listu dowiedzieliśmy się, że Aron ożenił się z byłą narzeczoną Adka i został ojcem jego syna.

Uszer przyszedł do nas pod koniec lata. Mamy nie było w domu. Ja leżałem w łóżku na wietrzną ospę i cały byłem w strupach. Uszer miał na sobie amerykańską wojskową bluzę i angielskie krótkie spodnie do kolan. Miał niemiecki wojskowy plecak obszywany końską skórą, spuchnięte nogi i obrzękłą twarz.

— Ty mnie nie możesz pamiętać — powiedział — ale ja znam dobrze twoją mamę. I twojego dziadka z Dobrego dobrze znałem. Całą rodzinę. Wiem, że nie żyją. Byłem w Dobrem. Tam nikogo nie ma... Kiedy twoja mamusia wyszła zamąż, to mnie już w Dobrem nie było, dlatego nie możesz mnie pamiętać. Mieszkałem w Warszawie. Na Złotej. Moja starsza córka byłaby teraz prawie taka jak ty. Tam też nikogo nie ma. Brat twojego dziadka z Nowej Wsi też mieszkał w Warszawie na Złotej. Znałem go, handlował krowami. Jeździł aż do Holandii. W trzydziestym dziewiątym roku dostał paszport do Argentyny, był bogaty, mógł sobie na to pozwolić. Chciał żebyście wszyscy wyjechali. Dlaczego nie wyjechaliście?

— Nie wiem.

— Tak, kto mógł wtedy wiedzieć?... Zdaje się, że miałeś siostrę albo brata?

— Miałem brata. Był bardzo mały...

- Co się z nim stało?
- Kiedy uciekaliśmy, mama go zostawiła u ludzi, ale ktoś oskarżył i Niemcy go znaleźli.
- Ciekawe czy twoja mamusia się bardzo zmieniła...
- Jest teraz blondynką.
- Blondynką?...
- Tak, ma utlenione włosy.
- Wasz adres dostałem w Mińsku od Słonia. Dowiedziałem się, że mój kuzyn Nusen żyje, ale nikt nie znał jego adresu, dostałem tylko wasz... Ty to czytasz? — zapytał biorąc do ręki książkę, która leżała na mojej kódrze — „Konrad Wallenrod”?... Adam Mickiewicz... Mój Boże, jak to dawno było!... Ile ty masz właściwie lat?
- Dziewięć.
- I rozumiesz wszystko, co w tej książce jest napisane?
- Rozumiem. To jest o tym jak wśród Krzyżaków wychowywał się chłopiec, który myślał, że jak dorośnie to też będzie Krzyżakiem, takim samym jak inni, ale jeszcze nim dorósł dowiedział się, że był Litwinem. Dowiedział się też o wszystkim co Krzyżacy zrobili z jego ojcem, braćmi, wujkami i całą litewską wsią...
- A co to jest? — zapytał biorąc album z rysunkami.
- To są rysunki z Treblinki... Te nagie kobiety z wyciągniętymi do góry rękami umierają, a te nici, które im opadają na głowy i owijają się dookoła ich szyj, to gaz... A skąd pan właściwie przyjechał? — zapytałem patrząc na jego spuchnięte nogi.
- Z Austrii...
- To podobno piękny kraj?
- Tak, ale ja przyjechałem z Mauthausen...

Uszer zamieszkał u Nusenów, razem z Frydami i Majnemerami i zaczął im pomagać w prowadzeniu interesów. Uszer im się bardzo przydawał, bo znał się na buchalterii i urzędowych papierach. Był najbardziej wykształcony i najzdolniejszy z całej rodziny. Gdy miał czternaście lat, jego ojciec, który był szewcem, posyłał go do Warszawy po zamówienia i skórę. Uszer czytał książki. Jego ojciec nie podejrzewał, że z Warszawy razem ze skórą Uszer przywoził komunistyczne broszury.

Prosto z wojska Uszer trafił do politycznego więzienia, gdzie przez cztery lata uzupełniał swe wykształcenie, nie tylko z ekonomii politycznej i zasad rewolucji, ale też z zakresu historii ogólnej, geografii, a nawet matematyki. We więzieniu byli bowiem nauczyciele i profesorowie, o jakich na wolności Uszer nie mógł na-

wet marzyć. „Panowie, na lekcję francuskiego!” wołał strażnik pukając w drzwi celi, bo uczyli się również języków. Mieli wszystkie książki, które na wolności były zakazane, albo za drogie. Mieli własny samorząd partyjny i partyjną dyscyplinę. Paczki, które dostawali od organizacji pomagających więźniom politycznym, sprawiedliwie dzielono pomiędzy wszystkich. Dzielono również prywatne paczki z domu. Panowała prawdziwa równość i sprawiedliwość.

A przy tym ani śladu antysemityzmu. Przeciwnie, więźniowie Polacy byli szczególnie serdeczni dla swoich towarzyszy Żydów. Nie tylko dlatego, że zarówno w partii jak i we więzieniach więcej było Żydów niż Polaków. Z samych założeń wynikało, że gdy w Polsce komuniści obejmą władzę, to położą kres antysemityzmowi i wszystkim żydowskim cierpieniom. Żydowscy robotnicy i inteligenci, wyjaśniano, będą uczestniczyć w politycznym i gospodarczym życiu społeczeństwa i na równi z wszystkimi korzystać z dobrodziejstw nauki i kultury. Antysemityzm i rasizm uważane były za koszmary, które leżą w naturze nękanego sprzecznościami, agresywnego społeczeństwa kapitalistycznego, w którym rządzi prawo dżungli. Naukowy marksizm, który jest podstawą komunizmu, udowadniał w sposób dostępny dla wszystkich i genialnie prosty, że sprzeczności owe znikną, gdy uspołecznili się środki produkcji i zniesie podział na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Nie będzie wtedy walki o byt i znikną prześladowania. Nie będą one bowiem leżały w niczym interesie. Ludzi będzie się oceniać według ich przydatności społecznej, a nie pochodzenia, a skrępowane dotychczas kapitalistycznymi zasadami zysku siły produkcyjne zostaną wyzwolone i wyprodukują tyle dóbr, że przy sprawiedliwym podziale starczy ich w zupełności dla wszystkich. Znikną również zatargi pomiędzy narodami. Jak mogą istnieć zatargi pomiędzy krajami, w których panuje komunizm? Nie będzie więcej zjawiska wyzyskiwania jednych narodów przez drugie, ani narzucania woli jednego państwa drugiemu. A zatem nie będzie więcej, jakże typowych dla świata kapitalistycznego, wojen, które w warunkach gdy nie istnieją sprzeczności interesów byłyby przecież czystym nonsensem. Mało tego, w warunkach komunizmu państwa w ogóle przestaną istnieć. Podobnie i narody. Nie będą one już po prostu potrzebne. Czy to nie jasne? Czyż nie jest genialnie proste?

Tak, to było proste. Zarówno dla żydowskich szewców i krawców jak i dla doktorów i profesorów. Komunizm był najlepszym wyjściem dla Żydów, jeśli nie w ogóle jedynym. Był ich najlepszym schronieniem. Traktowano ich jak równych i pełnowarto-



ściowych. Mogli się rozwijać, poświęcać się, wykazywać swoje zdolności.

Wtedy właśnie komuniści Polacy — za których żadna Polka nie chciała wyjść za mąż — zaczęli się żenić ze swoimi żydowskimi towarzyszkami, dając przy tej okazji dowód świadomości ideologicznej pozbawionej burżuazyjnych przesądów. Lecz raczej nie słyszało się, żeby jakaś Polka wyszła za Żyda-komunistę. Przede wszystkim bardzo mało było komunistek wśród Polek. Polka im była biedniejsza, tym częściej chodziła do kościoła, a te bogatsze nie musiały posuwać się aż tak daleko, żeby wychodzić za kogoś, kto był nie tylko Żydem, ale i komunistą. Jeśli już bardzo chciały komukolwiek dokuczyć — wystarczyło im jedno lub drugie. Za Żydów-komunistów zaczęły Polki wychodzić po wojnie.

Po wyjściu z więzienia Uszer jako komunista-kryminalista nie miał po co wracać do Dobrego. Chodził po Warszawie bez stałego zajęcia i nie tylko żadna Polka, ale i żadna Żydówka nie kwapła się wyjść za niego za mąż. W końcu jeden z krewnych, którzy obawiali się, żeby Uszer nie doszedł do czegoś gorszego i nie przyniósł jeszcze większego wstydu rodzinie, przyjął go na subiekta do sklepu. Uszer okazał się bardzo sumienny, pracowity i zdolny. Udzielono mu kredytu, ożeniono, założył sobie nieduży sklepik spożywczy na Złotej. Był oszczędny, nie pił, nie palił i nie najgorzej zaczęło mu się powodzić. Bardzo przy tym zwątpił w politykę, kiedy jego profesorowie z Wroniek, którzy wyjechali do Rosji wymienieni za Polaków trzymany w rosyjskich więzieniach, zostali w Moskwie rozstrzelani jako „zdraycy” i „prowokatorzy”, gdy w tym samym czasie komunistyczna Rosja podpisywała pakt z hitlerowcami.

W getcie Uszer należał do podziemnej organizacji, która wykorzystywała jego dawne kontakty z komunistami, gdy chodziło o dostarczenie broni. Ciężkie pieniądze płacono za najgorszy, zardzewiały pistolet i zepsuty zapalnik do granatu. „Partia potrzebuje pieniędzy”, mówili. Trzeba było jeszcze dziękować i za to, bo potrafili wziąć pieniądze i nie przysłać nic i co można im było zrobić? Byli to przecież ludzie, którym zawsze przyświecał tylko tak zwany w y z s z y cel oraz zasada, że zmierzając do tego celu nie potrzeba liczyć się z niczym. Dlatego gdy stwierdzili, że nie ich ludzie kierują bojową organizacją w getcie, wzięli pieniądze, lecz nie przysłali broni.

Uszer miał ukryty w getcie zapas mąki, kaszy, fasoli, więc jego dzieci nie umarły z głodu. Zanim go wywieziono na jesieni czterdziestego drugiego roku, zdążył starsze dziecko wraz z odpowiednią sumą pieniędzy przekazać na aryjską stronę. Młodsze, jeszcze przy piersi, pojechało do Treblinki wraz z matką.

Kobiety i dzieci w Treblince poszły na lewą stronę. Za nimi wszyscy starsi i chorzy. Z pozostałej reszty Niemcy zaczęli wybierać fachowców-metalowców. Uszer zgłosił się jako tokarz. I okazało się, że dobrze zrobił, bo w końcu tylko tokarze, ślusarze i blacharze znaleźli się po prawej stronie.

Oczywiście, każdy mógł od razu poznać, że Uszer nigdy nie był tokarzem, ale Uszer był pojętny i bardzo się starał. Majster, Niemiec umiał to ocenić i udzielał mu zbawiennych wskazówek.

Uszer kradł worki po cemencie. W dniu worka robił otwór na głowę, w dwa otwory z boku wkładał ramiona. Taka kamizelka, ukryta pod pasiakiem, chroniła go od wiatru. Gdy zaczęły puchnąć mu nogi, nacierał je olejem maszynowym i owijał pasmami udartymi z koca. W polu albo na drodze patrzył uważnie pod nogi i nigdy nie przeoczył ogryzka jabłka, marchwi, buraka. Jeśli SS-man dostrzegł, zakrywał głowę rękami, zwał się na kolana, ociekał krwią, ale tego co schwycił nigdy mu nikt nie odebrał. I nigdy nie bał się schylić po następny ogryzek. Zbierał również niedopałki papierosów. Nie po to, żeby palić. Sprzedawał. Za łyżkę zupy lub kawałek chleba. „Jeśli Hitler was nie wykończy, to my sami was wykończymy!”, wołali antysemita, bezsilni wobec Uszera i innych Żydów, którzy nie palili.

Podczas ostatniej zimy olej już nie pomagał. Na opuchliznie pokazały się wrzody. Kapo podchodził co rano do pryczy Uszera i czekał — czy Uszer wstanie, czy nie? Jeśli ktoś nie mógł wstać, albo nawet jeśli wstał, ale nie mógł się dowlec na apel, kapo brał go pod pachy i ciągnął do beczki z wodą, gdzie człowieka zanurzało się, żeby sprawdzić, czy nadaje się jeszcze do życia, czy nie? Zanurzało się razem z głową, SS-man przytrzymywał pod wodą. Zawsze o chwilę za długo.

Najtrudniej było przetrzymać *vergasung*, albo jak je potocznie nazywali *verlasung*. Ubrania szły do dezynfekcji, do gazu, a oni musieli nadzy stać na placu, na mrozie, i czekać. Wielu zostawało wtedy na placu. Uszer upadł podczas ostatniego *vergasung*. Gdy pozwolono im wrócić do baraków, kapo go chwycił pod pachy, ale nie zaciągnął do beczki z zimną wodą, ani żadne tego rodzaju miejsce, tylko do baraku. Tam na oczach wszystkich okrył go kocem, a potem przyniósł mu miskę z gorącą zupą i powiedział: „Masz, Żydzie, jedz! Tylko pamiętaj, że to ja ci przyniosłem tę zupę...”

— Czy ja mogłem marzyć o tym, że będę jeszcze jadł przy takim stole.. — mówił Uszer przy niedzielnym śniadaniu, na które mama podała śledzia w oleju, twarożek z rzodkiewką i ze śmietaną, jajka smażone z cebulą, własnego wypieku chałę, szarlotkę i sernik.

Na ślubie Uszera i mamy kantor sam zmówił Kadisz, bo Uszer tych rzeczy nie umiał — powiedział tylko „Amen!”. Stałem pod baldachimem pomiędzy nimi, między Uszerem a mamą, podczas gdy wszyscy płakali, jakby nie ślub się odbywał lecz pogrzeb. Bo tak właściwie to traktowano, gdy stawali pod baldachimem wdowcy i wdowy, którym nie dane było wyprawić pogrzebu tym, z którymi przedtem — niektórzy bardzo niedawno — stawali pod baldachimami. Ludzie patrząc na uroczystość z przerażeniem myśleli o tym, jak szybko wszystko może się zmienić. I do jakiego stopnia? O tym, że zaczynają jeszcze raz wszystko od nowa — i znowu ogarniał ich strach.

Płacz słyhać było przy każdej okazji. Wszędzie, gdzie zebrali się Żydzi. A im więcej ich się zebrało, tym większy był płacz. Chodziliśmy z Uszerem co niedzielę na poranne koncerty, gdzie nieliczni żydowski artyści — częściej amatorzy — śpiewali przedwojenne żydowskie piosenki i wszystko jedno, czy były to smutne piosenki czy wesołe — zawsze na sali był płacz.

Jednakże na żadnym z niedzielnych koncertów nie doszło do tego co działo się, gdy pewnej niedzieli zamiast koncertu wyświetlano odnaleziony przedwojenny, żydowski film „Miasteczko Bełz”. Trudno powiedzieć ilu było wtedy wszystkich Żydów w Łodzi. Siedmiuset siedemdziesięciu pozostało przy życiu w getcie. Może kilkuset wróciło z koncentracyjnych obozów. Kilkuset przyszło z polsko-rosyjskim wojskiem. Było też parę tysięcy Żydów ocalałych z innych miast i miasteczek, jak my. I wszyscy chcieli się dostać na salę, w której nie mieściło się więcej niż czterysta osób. Drzwi połamano. Wszystkie lustra, balustrady i szyby. Bilety po czarnorynkowych cenach, które przedtem wrywano sobie z rąk, nie miały żadnej wartości, bo nikt nie był w stanie ich sprawdzać. Tłum napierał ze wszystkich stron i wszystkimi możliwymi wejściami. Mama nie dostała się nawet do hallu. Mnie Uszer popychał przed sobą. W hallu zrobił się taki ścisk, że nie mogłem oddychać. Zacząłem krzyżeć: wypuście mnie, bo się uduszę! Również kobiety zaczęły krzyżeć. Ale nikt nic nie mógł poradzić, bo nie można było się cofnąć. Kobiety, które zemdlały, usiłowano wynieść podając je sobie ponad głowami. Uszerowi udało się i mnie podnieść do góry, posadził mnie sobie na karku i w ten sposób dostaliśmy się na salę, gdzie po trzy i cztery osoby zajmowały każde krzesło. Wypełniono całą przestrzeń pod ścianami i pomiędzy rzędami. Było tak mało powietrza, jakby i nad naszymi głowami unosił się jakiś niewidzialny tłum. Lamy pogasły i na chwilę zapanowała zupełna cisza. Lecz

gdy z ekranu rozległa się nagle znana melodia „Bełz, kochany mój Bełz, maleńka miejscina, gdzie moja rodzina...”, ze wszystkich ust wyrwał się straszny krzyk. Nie płacz, nie zawodzenie, tylko wielki zbiorowy jęk i krzyk bólu. Jakby jakaś zbiorowa egzekucja miała miejsce na sali. Nie było słycać żadnych słów, żadnej melodii. Nawet nie było widać ekranu, bo wszyscy powstali z miejsc, wspinali się, żeby widzieć. A jednocześnie twarze mieli w dłoniach i oczy zasłonięte rękami. Trwało to do samego końca seansu.

Ani Nusenowie, Frydowie i Majnemerowie, ani Uszer i mama nie chowali w siennikach utargowanych na rynku pieniędzy i nie wypłacali ich do żadnego banku. Kupowali za nie dolary, które odkładali na paszporty, bilety i wizy.

Nie chcieli pozostać w Polsce. Nie chcieli rozpoznawać wciąż śladów zmarłych i wciąż mieć przed oczami wspomnienie tego co przeżyli. Poza tym nie mieli odwagi. Kto im może dać gwarancję, że po jakimś czasie to się nie powtórzy. Jeśli coś takiego mogło zdarzyć się raz, to tym bardziej może się zdarzyć i drugi raz. Bo jeśli się raz pokaże drogę — to każdy głupi potrafi powtórzyć. Tego się najbardziej bali.

Dolary były drogie, tysiąc złotych za dolara, a paszporty i wizy nie zupełnie legalne, więc trzeba było dobrze zapłacić. A wydatki w czasie podróży? A trzeba też było mieć trochę pieniędzy na to, żeby mieć za co żyć, przynajmniej przez jakiś czas, w dalekich, obcych krajach, gdzie nikogo nie znaleźmy i nikt nas nie znał i, być może, wcale nie potrzebował. Ludzie się bardzo bali. Dlatego starali się zebrać jak najwięcej pieniędzy i kupić możliwie jak najwięcej dolarów.

Za lepszy towar z fabryki też trzeba było zapłacić w dolarach, bo właścicielom samodziiałowych warsztatów dolary były również potrzebne. Ale to się opłacało, bo za dolary dostawało się towar, który można było szybciej sprzedać i lepiej zarobić, a za uzyskane pieniądze kupić, jeszcze więcej dolarów. Najłatwiej było ludziom, którzy mieli jakiś prawdziwy majątek po niezwiązanych krewnych. Sprzedawali i wyjeżdżali. Zwłaszcza w dużych miastach, gdzie nikt nie bał się pójść i odebrać swoją własność. Wyjeżdżali również ludzie, którzy ani nic nie mieli, ani nie widzieli żadnych szans, żeby mogli zarobić. Ci zakładali plecak i wędrowali przez Czechosłowację, Niemcy i Austrię. Woleli z dwójga złego biedować tam, niżli tu. Więc najdłużej zostawali tacy ludzie jak my, Nusenowie, Majnemerowie, Frydowie. A tymczasem pieniądze zaczęły tracić wartość. Dolary drożały, a cen na towary

nie wolno było podnosić. Zaczęły się inspekcje, a za inspekcjami zwyczajne szantaże. Trudno było nawet dostrzec różnicę pomiędzy jednym a drugim.

Pewnego dnia pojechaliśmy z rynku na obiad do Nusenów. Po jedzeniu jak zwykle wysypano pieniądze na stół. Nagle rozległ się dzwonek. Grałem z Izakiem w kuchni w warcaby. Gdy usłyszałem dzwonek, pobiegłem i otworzyłem. W drzwiach stali dwaj panowie w gabardinowych płaszczach.

— Czy tatuś i mamusia w domu?

— Wszyscy są w domu — powiedziałem. — Proszę, panowie wejda!

Nic się nikomu nie stało, wzięli pieniądze i poszli. Tylko ja dostałem od Nusena po twarzy. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim oni właściwie byli. W każdym razie wzięli więcej niż było na stole i czas naszego wyjazdu znacznie się przez to oddalił. Ponieważ Belcia i Frydowa były w ciąży, zaczęto się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby, żeby urodziły tutaj, na miejscu, gdzie przynajmniej wiedziało się, że się ma dach nad głową i co jeść. Potem, nieoczekiwanie dla wszystkich, okazało się, że w ciąży jest również Nusenowa, która była starsza od swojego męża, miała czterdzieści sześć lat.

Mama nie była w ciąży, ale Uszer uprzedził wszystkich, że nie wyjedzie dopóki nie uczyni wszystkiego, żeby odnaleźć dziecko, które w swoim czasie oddał pewnej kobiecie po aryjskiej stronie.

Kobietę tę Uszer w końcu odszukał, ale dziecka u niej nie było. Powiedziała, że oddała dziewczynkę do sierocińca do sióstr. Uszer zażądał, żeby pojechała z nim do tego sierocińca. Jednakże w klasztorze, do którego pojechali, dziewczynki nie było, a zakonnice twierdziły, że w ogóle nigdy żadnego żydowskiego dziecka nie miały.

— Jakto, nie? — sprzeczała się kobieta. — Przecież sama ją tutaj oddałam! Może ją gdzieś przeniesiono...

Zakonnice skierowały ich do drugiego klasztoru, gdzie podobno było jakieś żydowskie dziecko, ale kobieta nie chciała jechać, miała dużo roboty w domu. Uszer zobowiązał się, że ten stracony czas jej wynagrodzi. A gdy nadal nie chciała, zagroził, że wdroży przeciw niej dochodzenie. Kobieta zgodziła się i pojechała.

Ale dziewczynka w drugim klasztorze była zupełnie nie podobna do córki Uszera. Była starsza i miała zupełnie inne włosy.

— Włosy się u dzieci zmieniają — perswadowała kobieta, której Uszer powierzył swoje dziecko.

— Ale jest przecież starsza... — oponował Uszer.

— A skąd wiadomo, że starsza? Przecież metryki nie ma! Zapisywało się jak kto chciał, jednemu rok więcej, drugiemu rok mniej...

Uszer uparł się jednak, żeby pojechać do jeszcze jednego klasztoru.

— Sam pan nie wie, czego pan chce! Kto to widział, żeby tak przebierać w dzieciach?...

W trzecim sierocińcu pokazano Uszerowi dziewczynkę, która była we właściwym wieku i miała podobne włosy, a zakonnica twierdziła, że było to żydowskie dziecko z Warszawy. Kobieta towarzysząca Uszerowi była tym razem absolutnie pewna, że Uszer odnalazł córkę.

— Miał pan rację, że się pan uparł tutaj przyjechać! Opatrzność boska i przeznaczenie! Serce podpowiedziało!... Przecież wystarczy rzut oka, jaka do pana podobna!

— Czy poznajesz mnie? — zapytał Uszer.

— Nie — odpowiedziała dziewczynka.

— A pamiętasz swoją mamusię?

— Nie, nie pamiętam.

Uszer dotknął jej włosów.

— Nie pamiętasz jakie mamusia miała włosy? Czy była blondynka czy czarna? Powiedz!...

— Nie wiem.

— A nie pamiętasz, czy miałaś siostrzyczkę? Mała, o wiele mniejszą od ciebie...

— Nie pamiętam... — powiedziała dziewczynka spuszcżając nisko głowę.

— Włosy ma zupełnie takie jak miała moja żona... — powiedział Uszer. Otworzył torbę z ciastkami i cukierkami. — Czy chciałabyś stąd ze mną wyjechać?

— Tak — odpowiedziała dziewczynka. Była blada i miała duży, wysunięty brzuch. W sierocińcu jadła trzy razy dziennie zupę.

Frymka się za głowę złapała, kiedy Uszer przywiózł dziewczynkę.

— Coś ty zrobił?! — zawołała. — To nie twoje dziecko! Nie masz oczu? Nie widzisz?!... Ja pamiętam jak twoja córka wyglądała, co tydzień byłam w Warszawie! Nie jest podobna ani do ciebie, ani do Fajgi! Oddaj ją tam skąd wzięłaś! Mało ci jedno cudze dziecko? Potrzebne ci jeszcze drugie?... — Frymka zawsze była przeciwna małżeństwu Uszera z mamą. — Jedź z powro-

tem i oddaj! Przecież ona nawet nie wygląda na żydowskie dziecko! Wystarczy popatrzeć na to zagapione spojrzenie...

— To jej szczęście, że nie wygląda — powiedział Uszer.

— Inaczej by jej nie było... Chcesz z powrotem do sierocińca?

— Nie chcę! — zawołała dziewczynka.

— Ja jej do sierocińca nie oddam! — powiedziała mama.

— Niech sobie będzie czyja chce. Zostanie z nami.

Uszer kupił dla Ani niemieckie dzieciinne łóżko z podnoszonymi po bokach siatkami. Gdy kładli się spać, siadał przy niej na łóżku i prosił, żeby go „pocertowała”. Ania kładła rękę na jego głowie i przebierała palcami jego rzadkie, siwiejące już włosy.

— Widzicie! — wołał Uszer. — Ona wie co to znaczy „pocertować”! Ona pamięta!... To jest moja prawdziwa córka, niczyja tylko moja!...

Mama, która zawsze chciała mieć córkę, szła dla Ani sukienki ze swoich starych rzeczy. Zaplatała jej codziennie warkoczki i wpinała coraz to inne kokardy we włosy. Ja się również cieszyłem, bo także chciałem mieć siostrę. Izak i inni chłopcy mi zazdrościli. Nikt z żydowskich dzieci, z którymi bawiliśmy się, nie miał siostry ni brata.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Uszer był wtedy na rynku z Nusenami, Frydami i Majenemerami, słuchawkę podniosła mama.

— Czy państwo odebrali dziewczynkę z sierocińca?

— Tak — odpowiedziała mama.

— Czy można państwa odwiedzić?

— A kto mówi? — spytała mama.

— My również poszukujemy dziecka.

— Ale po co mieliby państwo przychodzić w tej sprawie do nas?

— Chcielibyśmy zobaczyć dziewczynkę.

— Ale po co?

— Tak po prostu... tylko zobaczyć.

— To niemożliwe...

— Dlaczego?

— Bo jej nie ma w domu.

— Przyjdziemy wtedy, gdy będzie.

— Jej tu w ogóle nie ma...

— Jakto? A gdzie jest? Przecież pani mąż zabrał ją z sierocińca!

— Tak, ale wysłaliśmy ją...

— Dokąd?... W sierocińcu jej nie ma!

— Wysłaliśmy ją w góry...

— Dokąd w góry?  
— Nie pamiętam, nie wiem...  
— Jakto pani nie wie? A kto wie?  
— Mąż wie.  
— Czy można mówić z mężem?  
— Nie ma go w domu.  
— A kiedy będzie?  
— Nie wiem. Proszę mnie nie wypytywać! Ja w ogóle nie wiem z kim mam do czynienia! — powiedziała mama i rzuciła słuchawkę.

Uszerowi mama nic nie powiedziała. Gdy dzwonił telefon, pierwsza podbiegała i odpowiadała, „pomyłka”. W końcu telefon się nie wiadomo czemu popsuł i przestał dzwonić, a mama tymczasem wystarała się w Komitecie Żydowskim, żeby mnie i Anię, jako dzieci wątłe na skutek niedożywienia w czasie wojny i o zagrożonym zdrowiu, wysłać z zadymionego, cuchnącego miasta. Skierowano nas do Domu Dziecka w Helenówku, pod Łodzią. Dom ten jeszcze przed wojną wybudował dla żydowskich dzieci łódzki bogacz-fabrykant Rumkowski, późniejszy prezes Judenratu. Gdy myśmy byli w Helenówku, mama starała się o papiery dla nas wszystkich na wyjazd.

Dom Dziecka utrzymywany był przez Joint i mieliśmy tam lepiej niż u Uszera i mamy. Dostawaliśmy amerykańskie skondensowane mleko, amerykańskie mielone sardynki, amerykańskie jajka w proszku, brzoskwiniowe kompoty z puszek i grube bloki amerykańskiej czekolady. Nosiliśmy amerykańskie marynarki w kratkę, koszule w kratkę, czapki w kratkę, skarpetki w kratkę i kolorowe, kraciaste, szaliki Sypialiśmy pod zielonymi kocami z napisem — US, a starsi chłopcy zamykali się w klozecie i palili odurzające amerykańskie papierosy, które dostawali od naszych strażników. Dostawaliśmy amerykańskie zeszyty z szeleszczącego, nieprawdopodobnie białego papieru, przezroczyste piórniki z plastiku i długie, kolorowe ołówki. Amerykańskimi szczoteczkami myliśmy codziennie zęby i mieliśmy amerykańskie piłki do dwóch ogni, stół ping-pongowy i krokiet.

Byliśmy również dobrze strzeżeni. Cały teren otoczony był wysoką siatką z drutu, a przy furcie stała budka strażnika, który miał broń. Po pogromie w Kielcach przy wejściu stało nawet dwóch uzbrojonych strażników, a w nocy starsi chłopcy razem z nimi czuwali.

Wprawdzie ani ja ani Ania nie rozumieliśmy gier sportowych i zabaw, ale byliśmy bratem i siostrą i tym imponowaliśmy dzie-



ciom. Poza tym co niedzielę odwiedzali nas Uszer i mama. Trzymaliśmy ich mocno za ręce podczas niedzielnych spacerów i pokazywaliśmy wszystkim słodycze, któreśmy od nich dostali. Słodycze nie były lepsze od tych, które wszyscy dostawaliśmy od Jointu, ale nam zazdroszczono. Niewiele dzieci odwiedzano w niedzielę.

Oprócz odwiedzających przyjeżdżali do Helenówka ludzie poszukujący dzieci. Nie zdarzało się jednak, żeby któreś dziecko odzyskało ojca lub matkę. Wielka radość była, gdy ktoś odnalazł wujka, ciotkę lub dalekiego kuzyna. Albo kogoś, kto znał jego rodziców. Wtedy nasza grupka wybiegających na niedzielne spotkania i spacerujących z ręką w czyjejs dorosłej dłoni, powiększała się o jeszcze jedno dziecko. Dobrze nam było, mnie i Ani w Helenówku i wszyscy nas lubili. Może tylko kierowniczką, pani Rojtholcowa nas nie lubiła.

Byliśmy pewni, że nikt niepowołany nie dostanie się na nasz teren. Pod tym względem można było na naszych strażnikach polegać. Inaczej jednak miała się sprawa, gdy ktoś chciał uciec. Nie zdarzało się, żeby straż kogoś podczas ucieczki złapała. Rano, gdy budziliśmy się, stwierdzaliśmy, że jedno z łóżek jest starannie zasłane, a naszego kolegi nie ma. Znaczyło to, że jacyś przybrani krewni namówili go, żeby uciekł. Czasem zasłane były dwa albo trzy łóżka, jeśli chłopcy razem uciekali. Zawsze były zasłane ładnie pod kancik. Należało to do fasonu.

Jeśli dwóch, albo trzech chłopców uciekało razem, to znaczyło, że uciekli do kibucu. Pani Rojtholcowa dostawała wtedy białej gorączki. Dzwoniła na milicję, jechała do Komitetu Żydowskiego, do partii. Wszystko na nic, kibuc był już daleko w drodze. A strażnicy rozkładali ręce. Nie mieli pojęcia jak chłopcy uciekają. Pod płotem, nad płotem, czy po prostu przeciekają przez płot?... Pani Rojtholcowa groziła, że ich wszystkich zwolni, a oni się z tego śmieli. Byli to samotni ludzie, którzy nie mieli rodziny, ani własnego domu. Mieszkali z nami. Dzień i noc czuwali. Nie upijali się i byli nam naprawdę oddani. Skąd pani Rojtholcowa wzięłaby drugich takich?

A przy tym od wielu lat żyli z bronią w rękę i dobrze znali swój zawód. Pan Natek brał udział jeszcze w wojnie domowej w Hiszpanii. Potem nie mogąc wrócić do Polski, pojechał do Rosji i służył w rosyjskim wojsku, z którym przyszedł jako „starszyna”. Pan Danek był w wojsku Andersa. Wrócił z Anglii, żeby szukać rodziny. Pan Gerszon był w partyzantce. Przychodziliśmy do ich budki, a oni nam opowiadali — pan Natek o Hiszpanii, pan Danek o Palestynie i arabskich zwyczajach, a pan Gerszon o grzybach, jagodach, oraz innych roślinach nadających się do

jedzenia i przyrządzania lekarstw. Tylko o samej wojnie nie opowiadali. Nie chcieli.

— Za dużo trzeba by opowiadać... — mówili.

— A partyzantka? — pytaliśmy pana Gerszona. — Jak wyglądała partyzantka?

— A jak miała wyglądać? — odpowiadał pan Gerszon. — Zwyczajnie! Zimno, głodno i wszy. A do tego jeszcze każdy każdego się boi... Eee, w ogóle to paskudna rzecz!

Musieli w końcu trafić do Helenówka i państwo Jarząbkowie, którym mama w Łodzi nie dała okazji do zobaczenia Ani. Przyjechali w powszedni dzień, a nie w niedzielę, gdy mama, Uszer i wszyscy odwiedzający przyjeżdżali. Pani Rojtholcowa zawołała Anię i kazała jej się umyć i przebrać, bo ktoś do niej przyjechał. Chciałem również się przebrać i pójść razem z Anią, bo uważałem, że jeśli ktoś przyjechał do Ani to przyjechał i do mnie, ale pani Rojtholcowa powiedziała, że tym razem ktoś przyjechał wyłącznie do Ani. Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Poczujęm się tak, jakbym nie był Ani bratem. Stałem w hallu i patrzyłem na drzwi gabinetu pani Rojtholcowej. Kiedy się otworzyły, Ania wyszła z wysokim panem w okularach i dwiema eleganckimi paniami. Wysoki pan trzymał ją za rękę, w drugiej ręce miała dużą czekoladę. Jedna z pań poprawiała jej kokardę we włosach. Ania zaczerwieniła się, kiedy mnie zobaczyła. Zacząłem iść za nimi, ale pani Rojtholcowa spojrzała na mnie surowo i musiałem się zatrzymać.

Uszer i mama poszli natychmiast do adwokata. Jakie dowody ma pan Jarząbek, że to jest jego dziecko? Żadnych, może być tak samo jego jak nasze. Kto po tym wszystkim co się stało może mieć jakiegokolwiek dowody? Po tym co przeżyliśmy człowiek nie jest nawet pewny, czy sam jest tym kim był. Straciło się przecież wszystkich i wszystko, całą swoją przeszłość. A teraz, gdy człowiek cudem odzyskał część owej straty, ktoś ma śmiałość przyjść i chcieć mu odebrać? Jak można? Gdzie serce? Gdzie żydowskie serce? Trzeba być barbarzyńcą, żeby móc coś takiego zrobić. Ludzie pomagają sobie jak mogą. Łączą się. Zakładają rodziny z resztek, które zostały. Z resztek swojego życia. Resztek odwagi... Więc jak tak można? Powiedzmy, że nie ma pewności, czy dziecko jest nasze. Ale myśmy je już pokochali i ono stało się nasze. Czy mało jest innych osieroconych dzieci? Musi być właśnie to?...

— Salomonowy sąd... — powiedział adwokat. — Jeśli sędzia

nie będzie miał do końca całkowitej pewności, kto jest prawdziwym ojcem, to sprawę wygramy...

Po pierwszej rozprawie, gdy sąd sprawę odroczył do czasu, aż strony przedstawią bardziej przekonujące dowody, przewaga była zdecydowanie po naszej stronie, chociaż Ania miała pozostać w Helenówku, gdzie obie strony miały ją prawo odwiedzać. Tylko Frymka załamywała ręce. — Nie mówiłam, że będzie nieszczęście! — wołała.

Ale na drugą rozprawę pan Jarząbek, jego siostra i druga żona — pierwsza żona pana Jarząbka, matka jego dziecka zginęła w Treblince tak samo jak żona Uszera — przyprowadzili nie tylko kobietę, której pan Jarząbek oddał dziecko na przechowanie, ale również odnaleźli zakonnice, która dziewczynkę od tej kobiety przyjęła. Zakonnica, okazało się, przechowała i przyniosła z sobą prawdziwą metrykę dziewczynki, a na metryce było nazwisko — Jarząbek. Zakonnica zeznała, że poznała kobietę, którą pan Jarząbek przyprowadził jako świadka i że to właśnie od niej przyjęła żydowskie dziecko razem z metryką. Na to, czy poznała samą dziewczynkę, zakonnica nie chciała przysiąc. Natomiast kobieta, której Uszer powierzył swoje dziecko, nie stawiała się wcale.

Uszer zaklinał sędziego i prosił o jeszcze jedną rozprawę. Sędzia wyjaśnił, że Uszerowi tak czy owak przysługuje prawo odwołania się od wyroku i może to przez swojego adwokata uczynić w ciągu najbliższych dni, więc chociaż rozumie motyw Uszera i szczerze mu współczuje, to jednak nie widzi potrzeby ponownego odroczenia sprawy.

Uszer nie był w stanie przedstawić żadnych dodatkowych, poważnych dowodów. Nawet kobieta, która rzekomo oddała jego dziecko do klasztoru, zniknęła i nie można jej było pod poprzednim adresem odnaleźć. Adwokat powiedział otwarcie, że w tych okolicznościach nie widzi szans na wygranie apelacji. Radził wycofać się, uznać wyrok i zaoszczędzić sobie czasu, pieniędzy, a co najważniejsze — przeżyć.

Uszer nie dał się jednak przekonać. Na rozprawę apelacyjną przyszedli Frydowie, Majnemerowie i Nusen z Frymką, która zgłosiła się jako świadek i zeznała z całą stanowczością, że dziewczynkę świetnie pamięta i poznała jako córkę Uszera. Adwokat w końcowym przemówieniu przedstawił czterdzieści lat życia Uszera. Czterdzieści lat, jak się wyraził, kłęski. Wreszcie nie panując nad głosem zawołał: — Wysoki sądzie, oto człowiek, który nie chce dowiedzieć się po raz drugi o śmierci swojego dziecka!...

Sprawa o Anię trwała prawie pół roku. Przez ten czas straciły ważność wszystkie zagraniczne papiery, o które mama się zdążyła wystarać i trzeba było zacząć się starać od nowa.

Wiosną tego roku powróciła z Rosji rodzona siostra Fryda, z mężem, którego w Rosji poznała, i dwójkiem małych dzieci. Wróciła jednym z eszalonów wraz z innymi Żydami, którym pozwolono powrócić z Azji Środkowej, Syberii i Autonomicznej Republiki Komi. Byli to Żydzi, którzy w trzydziestym dziewiątym roku uciekli na rosyjską stronę, albo których Rosjanie po zajęciu wschodniej Polski sami zabrali.

Siostra Fryda i inni polscy Żydzi znalazłszy się w Rosji tak się przerazili tego, co tam zobaczyli, że zaczęli żałować, że uciekli przed Niemcami. Widząc to Rosjanie oświadczyli dobrodusznie, że jeśli tak bardzo pragną wracać do domu, to mogą wracać. Niech tylko każdy kto chce wpisać się na listę.

Naiwni polscy Żydzi, którzy świetnie umieli sobie radzić w swoich polskich miasteczkach, nie mieli wcale intuicji w sprawach prawdziwej polityki. I co mogą im zrobić Niemcy?, myśleli. Że nie lubią Żydów? A czy Żydzi nie są przyzwyczajeni do tego, że się ich nie lubi? Niemcy krzyczą, grożą i straszą, bo taka jest ich polityka, ale to przecież jest kulturalny naród. Powiedzmy, że nawet będą prześladować i szykanować. Ale kiedy to Żydzi nie byli prześladowani i szykanowani? Raz więcej, raz mniej, ale zawsze. I zawsze sobie radzili. Więc i tym razem jakoś sobie poradzą. Rzecz przecież polega na tym, że dręczyciele przychodzą i odchodzą — a Żydzi pozostają. A co mogą im zrobić kacapi za to, że chcą wracać do domu?... Polecieli i się zapisali.

A „kacapi” kazali im przyjść do pociągu. Załadowali, zamknęli wagony. Postawili przy każdym wagonie strażnika i powieźli. Ale nie na zachód tylko na wschód.

— Dokąd nas wieziecie? — pytali Żydzi. — Przecież Polska nie leży na wschodzie tylko na zachodzie?...

— Nie martw się, bracie! — odpowiadali dobroduszni rosyjscy strażnicy. — Gdyby trzeba było na zachód, to by wieźli na zachód, a jak wiozą na wschód, to znaczy że trzeba na wschód! Sowiecka władza dobrze zna drogę...

Byli tacy, mówiła siostra Fryda, którzy lepiej znali Sowieców. Ci nie wyrazili chęci powrotu. Przeciwnie, oświadczyli, że najbardziej z wszystkiego w swoim życiu pragną obywatelstwa sowieckiego. Pozostawiono ich w Białymstoku, Mińsku Białoruskim i Wilnie, skąd co „sprytniejsi” przeprawili się potem z powrotem przez lasy koło Łomży i Bug. Zupełnie niepotrzebnie. W niecałe dwa lata później Niemcy przyszli do Wilna i Lwowa i pozostałych zagarnęli sami. Tylko zza Dniepru i południowej Ukrainy część

Żydów zdążyła się ewakuować z fabrykami i kołchozami, w których pracowali.

Mąż Rywki, siostry Fryda, nigdy przedtem nie widział pizamy. Rywka mówiła, że gdy się poznali, to się przed nią chwalił, że przed wojną to on był bogaty, bo „u niego był sinij kastium”, czyli granatowy garnitur. Opowiadała, że pewien stary Rosjanin zaciągnął ją raz na stronę, sprawdził czy nikt nie podsłuchuje i zapytał, czy to prawda, że na Zachodzie, czyli w Polsce, można było po prostu wejść do sklepu i kupić sobie buty? I w dodatku takie, jakie się chciało? A jak się chciało, to nawet dwie pary...

— To nie to, że była wojna — mówiła Rywka. — Oni w ogóle innego życia nie znają.

My jednak w gruncie rzeczy zazdrościliśmy Rywce i tamtym n a i w n y m Żydom, których wywieziono do tajgi, tundry, białych niedźwiedzi. Rąbali puszcze, ryli ziemię, zjadał ich głód, tyfus i wszy, ale jednak wracali. Sto tysięcy wróciło. A po „sprytnych”, którzy przepłynęli z powrotem Bug i po wszystkich, którzy tutaj zostali — nie było nawet śladu.

Również do Helenówka przybyły eszałony. Były to całe domy dziecka z Taszkientu i Samarkandy. W świetlicach, korytarzach, nawet na strychach rozstawiono amerykańskie łóżka polowe, na trawnikach rozbito namioty. Nie wszystkich wypuszczano z Rosji, ale dzieci nie zatrzymywano. Ich ojcowie zostali wzięci na wojnę, z której nie wrócili, albo w innych okolicznościach zginęli. Matki, jeśli nie zginęły, jak to określano, „w czasie ewakuacji”, lub od chorób i głodu, to znajdowały się w obozach pracy. Jeśli wracały, oddzielnymi eszałonami, zgłaszały się do Helenówka, rozpoznawały swoje dzieci, ale ich nie zabierały. Gdzie mogło ich dzieciom być lepiej niż w Helenówku? Przeciwnie, same pozostawały w Domu Dziecka jako pomoc do kuchni, do sprzątanania i prania.

Dzieci, zarówno chłopcy jak i dziewczynki, przyjeżdżały z Rosji z głowami ogolonymi do skóry, ale i tak natychmiast pojawiły się wszy. W Helenówku było co jeść i gdzie spać, ale za mało było umywalni i wody. Pojawił się świerzbi i rozbito osobne namioty dla świerzbowatych. Oprócz świerzbu i wszy pojawiły się również kradzieże.

Kradziono konserwy, mleko skondensowane, kiełbasę i czekoladę. Dla nas było to dziwne, bo w Helenówku nigdy nikt nie był głodny. Może w innych domach dziecka i sierocińcach brakowało jedzenia, ale nie w naszym, który był utrzymywany przez Unrre, Joint i całkiem prywatnych ludzi z Ameryki i Szwajcarii, którym to nie sprawiało wielkiej trudności, bo nas, żydowskich

dzieci, było niewspółmiernie mniej, niż bogatych Żydów w Szwajcarii i Ameryce.

Chłopcy z Rosji, którzy nie byli głodni w dzień, zjadali kradzione rzeczy w nocy, a czego nie mogli zjeść, chowali w siennikach. Lekceważyli nas, którzy nie umieliśmy lub baliśmy się kraść i pogardzali nami. Pani Rojtholcowa zmobilizowała wszystkie siły do walki o przywrócenie szacunku dla wspólnej własności — społecznej. Im większe będzie nasze wspólne dobro, tłumaczyła nam na apelach, tym każdy z nas będzie bogatszy. Więc po co kraść? Kradnąc wspólną własność sami się okradamy... Wydawało się to logiczne i proste, a jednak nie trafiało do przekonania.

Bardziej wierzyliśmy pani Marii, wychowawczyni, która przyjechała razem z dziećmi z Rosji. Była chuda, wysoka, miała przygarbione plecy i rzadkie, związane w brzydkie wiecheć włosy. Nosiła zawsze tę samą ciemno-szarą sukienkę, w której wyglądała jak zakonnica i druciane okulary, które jej niewiele pomagały, bo miała bardzo silnego zęza. Przystawiając książkę raz do lewego oka, raz do prawego, czytała nam na głos „Poemat Pedagogiczny” Makarenki. Czytała z rosyjskiego egzemplarza po polsku, co wzbudzało w nas prawdziwy podziw i uznanie. Nie jednostka jest ważna, ale kolektyw, wynikało z tej książki. A najbardziej godne pogardy jest sobkostwo, egoizm i właściwie wszelka własność prywatna.

Z przejściem słuchaliśmy tej opowieści o zdeprawowanych wojną domową i głodem, bezdomnych rosyjskich dzieciach, których jednak kolektyw i władza sowiecka wychowywały na porządnym ludzi. Byliśmy pełni szacunku dla brzydkiej lecz mądrej i znającej wiele języków pani Marii. Szanowali ją również chłopcy z Rosji, którzy ją lepiej znali i wiedzieli, że ona nie kłamała i że — w przeciwieństwie do innych — naprawdę wierzyła w to, co mówiła.

Nie znaczy to wcale, że ustały wyprawy na magazyn. Co najwyżej, zaczęto kraść również niegodną, prywatną własność jak zegarki i pieniądze wychowawczyń. A kradło się zespołowo. Jeden lub dwaj chłopcy stali na *szucharie* i w razie niebezpieczeństwa wołali — *Atanda!* W wypadku pogoni, najszybszy i najzwinniejszy ujawniał się i pociągał całą pogoń za sobą, aby umożliwić ucieczkę kolegom, którzy byli obładowani „towarem”. Schwytny nigdy nie wydawał zespołu, takie rzeczy u rosyjskich chłopców się nie zdarzały. Za to przechowywano dla niego największą dółę skondensowanego mleka, kiełbasy i czekolady.

Nie jednostki więc kradły, lecz kolektyw i walka przez to była nierówna. Nie łatwo było się oprzeć wpływowi pani Marii, ale jeszcze trudniej było oprzeć się kolektywowi. Tym bardziej, że

sama pani Maria uczyła nas o jego sile i przemożnej władzy. Toteż w końcu nie tylko chłopcy z Rosji kradli.

Pewnego wieczoru kolega Lowka doniósł, że w oranżerii dojrzały już ogórki i pomidory. Wyjeliśmy inspektową szybę i bezszelestnie spuściliśmy się do środka. Chodząc na czworakach wśród odurzająco pachnących krzewów okrytych szklanym dachem, przez który widać było całe rozgwieżdżone niebo, sapiąc z emocji i zachwytu rwaliśmy na oślep i wpychaliśmy pod koszule wszystko, co znalazło się w zasięgu naszych rąk. Po jakimś czasie staliśmy się tacy ciężcy i grubi, że nie mogliśmy się wydostać przez otwór, którym weszliśmy i część łupu musieliśmy wyrzucić. Byliśmy już na wierzchu. Ja trzymałem szybę i miałem ją położyć na miejsce, gdy szyba nagle zadrżała mi w rękach, wysliznęła się i z wielkim trzaskiem wpadła do środka. „Atanda!” zawołał Lowka. Pobiegliśmy za główny budynek i ukryliśmy się w koksowni. Przesiedzieliśmy tam pół godziny jedząc gorzkie ogórki i kwaśne, na wpół dojrzałe pomidory. Potem pojedynczo wybiegliśmy i przez uchylone okna wkradliśmy się do naszych sypialń, w których już dawno pogaszono światła. Na moim łóżku, w ciemności siedziała pani Maria.

— Jak mogłeś to zrobić? — powiedziała. — Ty?... Oni kradną, bo zawsze kradli. Od początku życia. Musieli... Nauczyli się. Teraz nie mogą już się odzwyczaić. Ale ty?! Przecież ty jesteś inny. Więc dlaczego?... Myślałam, że jesteś inny... Wielki zawód sprawiłeś mi... synku...

Tak powiedziała — „synku”. Coś mnie za gardło ścisnęło, kiedy to powiedziała i nie mogłem wypowiedzieć ani słowa. Nie mogłem nawet się rozplakać. Ten ból w gardle czuję do dziś, gdy o niej myślę. Pani Maria odeszła wkrótce z Domu Dziecka. Zaczęła uczyć studentów na politechnice w Warszawie. Marksizmu i leninizmu, czyli tego, w co wierzyła. Może studenci również wierzyli jej tak jak my. Dlatego nie mogła przeżyć, gdy po kilku latach to czego uczyła okazało się w praktyce zwyczajnym kłamstwem, obłudą i cynizmem. Wytknęli jej to studenci. Wróciła w nocy z meetingu i odkręciła gaz. Tylko ona. Ci, którzy byli winni, gazu nie odkręcili.

Po wypadku z kradzieżą mama mnie czym prędzej zabrała z Helenówka do domu.

Również w Łodzi gorzej się działo. Odbierano ludziom nawet zupełnie małe manufaktury. Najmniejsze, pracujące dosłownie na paru krosnach warsztaty dobijano takimi domiarami, że ludzie sami je oddawali. Kto chciał ryzykować umieszczał krosna

w piwnicy albo na strychu. Inni rzucali wszystko i wyjeżdżali. Wyjechała i siostra Fryda, Rywka, której mężowi przysługiwała niewykorzystywana od blisko trzydziestu lat tak zwana „rosyjska kwota” na wyjazd do Ameryki.

Natomiast Uszer zaczął się wahać.

— Gdzie ja pojedę? — mówił. — I z czym? Czy ja mam jakiś zawód? Prawdziwe wykształcenie? Nie znam nawet tamtego języka. A nie jestem dość młody i zdrowy na to, żeby pójść do pierwszej lepszej fizycznej pracy.

— A z czego tu będziesz żył? — pytała mama. — Tam boisz się, a z czego tu będziesz żył?! Ja już nie mówię o innych rzeczach, ale z czego będziesz żył?

— Mógłbym dostać posadę...

— Z posady chciałbyś żyć?... Popatrz tylko jak żyją ci na posadach! Chleb ze smalcem, kawa zbożowa i zalewajka... A dzieci chodzą nagie i bose!...

— To się jeszcze poprawi. Nie rozumiesz, że kraj się odbudowuje? Musi potrwać. Potrzeba ludzi! Ludzi, którzy się znają na organizacji produkcji, na ekonomice... Potrzeba ludzi w centralnych zarządach, a nawet w zwyczajnych spółdzielniach... Co myślisz, postawić spółdzielnię dobrze na nogi też trzeba umieć! A przy tym można zarobić. Ja mógłbym taką posadę dostać.

— Lepiej przestań o tym gadać!

— Gdybyś zobaczyła, kto tu teraz robi karierę! Błagierzy bez żadnego pojęcia, nieuki...

— I ty chciałbyś tu zostać, żeby mieć z nimi całe życie do czynienia?...

— Wstępują do partii i dostają takie stanowisko jakie chcą. Wstępują teraz... Ja wstąpiłem wtedy, kiedy to się wcale nie opłacało... Ja mógłbym nie taką posadę dostać! Gdybym się tylko zgłosił! W Komitecie Centralnym jest Lolek Kasman z Mińska Mazowieckiego. Lolek!... Gdybym tylko do niego zadzwonił! Ja we Wronkach byłem jego najlepszym uczniem...

— Żebyś mi się nawet nie ważył, słyszysz? Ja tutaj nie zostanę! Jak chcesz to zostań sam! Wezmę dziecko i wyjadę! Ty wiesz, że ja potrafię to zrobić...

— I czego ty się tak boisz? Antysemitów? Antysemitów są wszędzie. Rozumiem, że krew i tyle okropnych wspomnień... Ale czy od tego można gdziekolwiek uciec?...

— Czy ty nie widzisz, czy nie rozumiesz, co tutaj się dzieje?...

— I co się dzieje? Komunizm!... Tego się boisz? Wszyscy Żydzi się tylko tego boją! Nie wspomnień i nie antysemityzmu... Kwestia jest czysto klasowa i w tym cała rzecz!... — Uszer zapalał się, gdy poruszał sprawy z okresu swojej młodości. Nie



chodziło mu o zastosowanie tego, o czym mówił. Wystarczało mu, że o tym mówił. Że udowadniał. I że — miał rację. Stawał się znowu młody i to mu wystarczało.

— Zacofani, ciemni Żydzi! — mówił. — Słuchają tylko swojej burżuazji! Nie rozumieją, że tylko komunistyczna władza może im dać prawdziwe równouprawnienie! Mało, przecież tu nawet woli się Żydów... Wszyscy komuniści już mają żydowskie żony i otwartą drogę do kariery! Wszyscy członkowie rządu...

— Przyjdzie czas, że się z nimi rozwiądą. Wystarczy na nich popatrzeć, żeby wiedzieć z kim się ma do czynienia! Czy może być coś gorszego niż Polak-komunista?...

— Nie mów tak, znałem kilku porządných komunistów Polaków...

— Teraz potrzebują Żydów!... Jak długo będą ich potrzebowali? Rok? Dwa lata? Dziesięć?... A co potem? Jak już nie będą cię potrzebowali? Gdzie pójdziesz? Żeby tylko to! Kogo, myślisz, tu będą bić, jak tylko do czegoś dojdzie? Żydów!... A twoi przyjaciele, którzy cię teraz tak strasznie potrzebują i wszyscy ci, co się teraz najbardziej podlizują Żydom, ci będą pierwsi!... I najgorsi! Zobaczysz, wspomnisz moje słowa!... Niech tylko coś będzie źle! A źle będzie na pewno, wystarczy popatrzeć, co oni już wyprawiają!... Przestań w ogóle na ten temat mówić, słyszysz?

Ponieważ towary na rynku stawały się nielegalne, więc i ceny towarów rosły. Z tego powodu również chłopci przywożący żywność więcej żądali, a kiedy ich zaczęto za to karać, przestali przywozić. Tylko przekupnie ryzykowali. Jeździli na wieś, skupowali mięso, drób, nabiał, ziemniaki, ale żądali jeszcze wyższej ceny. To co się dostawało na kartki nikomu nie wystarczało, a wypłaty w fabrykach nie rosły. Wybuchł strajk w fabryce Poznańskiego. Ale natychmiast posłano tam wojsko i UB. Wielu ludzi aresztowano i bito w piwnicach na Anstadta, gdzie za Niemców mieściło się Gestapo. Strajkować wam się zachciało?! — wołali UBowcy. Przeciwko własnej, robotniczej władzy?! To dopiero bezczelność!... Krzyki bitych słychać było tam każdej nocy. Komitet strajkowy i innych, co się stawiali, wysłano do Rosji i nikt o nich więcej nie słyszał. Aresztowania trwały jeszcze długo po strajku. Aresztowano Gaworczyków, naszych sąsiadów. Ojca wypuścili, ale syn nie wrócił. Po paru tygodniach przyszło orzeczenie lekarskie, że na skutek przeziębienia podczas strajku wywiązało się u niego zapalenie płuc, został wzięty do szpitala i umarł.

Gaworczykowie mieli czterech synów. Najstarszy w trzydziestym dziewiątym roku poszedł na wojnę i zginął. Drugiego Niemcy

wywieźli na roboty do Prus i również nie wrócił. Trzeciego aresztowało Gestapo. Trzymali go na Anstadta a potem na Radogoszczu. Ostatniej nocy przed przyjściem Rosjan Niemcy oblali więzienie na Radogoszczu benzyną i wszystkich więźniów żywcem spalili.

Gdy przyszło zawiadomienie o śmierci ostatniego syna, pan Gaworczyk już nie poszedł do pracy. Położył się do łóżka i nie wstawał tak długo aż umarł. Panią Gaworczykową zabrano do zakładu dla umysłowo chorych, bo codziennie przychodziła pod fabrykę z drugim śniadaniem, a w nocy chodziła po schodach i pukała do wszystkich drzwi pytając czy nie ma tam któregoś z jej synów.

Belcia Majnemerówna urodziła syna. Wszyscy się bardzo cieszyli, ale wynikła kwestia, czy obrzezać dziecko czy nie. Uszer, mama, i Nusenowie byli stanowczo przeciwko obrzezaniu. Tyle dzieci przez to zginęło. Uszer twierdził, że to w ogóle przesąd. Frydowie nie zabierali głosu, ale nawet bracia Majnemerowie odradzali, a sam Moniek, mąż Belci się wahał. Ku zdziwieniu wszystkich, a zwłaszcza kobiet, Belcia uparła się, żeby obrzezać.

Jej dziecko nie będzie się bało tego, że jest Żydem, powiedziała. Wkrótce potem nie mówiąc nikomu Belcia i Moniek wystarli się o papiery do Palestyny i nie czekając na nikogo wyjechali.

Uszer również przestał już mówić o wstąpieniu do partii i pozostaniu w kraju. Mama robiła zakupy, bo mieliśmy dostać z Hajasu papiery do Wenezueli. Kazała szyc nowe poszwy, prześcieradła, koszule i piżamy, żeby gdy znajdziemy się w Wenezueli, starczyło nam wszystkiego na długo i żebyśmy nie musieli tam niczego kupować. Spodziewaliśmy się wyjechać jeszcze tej samej jesieni. Stało się jednak inaczej.

Z Rosji wrócił Uszera dawny znajomy z Wronek, Rozenberg i pewnego dnia zjawił się u nas w mieszkaniu. Takie spotkanie trzeba było uczcić. Uszer posłał mnie do sklepu po wódkę, a mama zastawiła stół wszystkim, co tylko miała w domu.

— Ładnie mieszkaasz... — powiedział Rozenberg rozglądając się po mieszkaniu.

W Rosji Rozenberg nie przyznawał się do tego, że przed wojną był w Polsce komunistą. Polscy komuniści byli bowiem bardzo źle widziani przez NKWD. Wielu natychmiast aresztowano. Bito ich i zmuszano, żeby podawali nazwiska znanych im aktywistów, którzy występowali przeciwko sowieckiemu paktowi z Niemcami. Kto wymieniał nazwiska, mógł być zesłany na Północ, a kto odmawiał, tego rozstrzeliwano jako „zdrajcę”, „prowokatora” lub

„obcego agenta”. Byli tacy co milczeli, ale większość nie wytrzymała bicia i podawali wszystkie nazwiska, jakie tylko znali. Nazwisko Rozenberga też było podobno na liście, ale on w Rosji cały czas używał fałszywego nazwiska i właściwie nawet nieźle mu się powodziło.

— *Charaszo tamu żywiotsa kto s małocznicoj żywiot, małaczka on napijotsa i małocznicu je...* — zaśpiewał Rozenberg. — Dobrze tylko temu kto z mleczkarką żyje, z mleczkarką się prześni, mleczka się napije!... Żyłem tam z pewną mleczkarką... Pewnego razu i inne kobiety chciały się przekonać, do jakiego stopnia Żyd może być obrzezany. Podeszły do mnie, jedna ukucnęła za moimi plecami, druga, zanim zdążyłem się zorientować, popchnęła mnie na nią. Gdy upadłem, usiadły mi na rękach i nogach, a jedna spuściła mi spodnie... Co tu dużo mówić, przecież tam kobiety gwałciły dziesięcioletnich chłopców. Mężczyźni szli na wojnę jak w wodę. Nigdy nie wracali... Moja mleczarka miała szesnastoletnią córkę. Pewnego wieczora wróciłem do domu, patrzę, a moje rzeczy są przeniesione do pokoju córki. Zaczekałem aż wróciła mleczarka, pokazuję jej i pytam, co to znaczy? Mleczarka woła córkę. Co to ma znaczyć?, pyta. A córka jej na to mówi, *Chwatit, mamasza, tiepier ja!* Wystarczy, mamo, teraz ja...

Towarzyszy z KC, których obaj pamiętali z Wronek, przesłuchiowano na Kremlu, opowiadał Rozenberg. Żądano, żeby przyznawali się do zdrady. Przywódcy polskiej partii byli oburzeni. Czy słuszne jest tylko to, co wy uważacie za słuszne? Skąd macie tę pewność? I skąd my mamy ją mieć? Nie jesteście przecież świętymi. Komunizm to racjonalizm a nie bałwochwalstwo!... Tak odpowiadali. Nawet bicie nie pomagało. Wtedy zaczęto z nimi inaczej. Powiedziano im otwarcie, że oskarżenie wniesione przeciwko nim zostało podane do wiadomości całej klasy robotniczej i cofnięte już być nie może. Partia bowiem nie może sobie pozwolić na przyznawanie się do pomyłek. Wrogowie tylko na to czekają! Tym bardziej nie można pozwolić na istnienie w ruchu komunistycznym różnic, które mogłyby w konsekwencji doprowadzić do rozłamu i przynieść ogromną szkodę sprawie. Jako komuniści powinni to sami zrozumieć. I właśnie o wyrządzenie, lub zmierzanie do wyrządzenia tej szkody — wszystko jedno czy świadome, czy nieświadome — ich, polskich komunistów, się oskarża. Oskarża ich wielka partia bolszewików, która pierwsza pokazała w jaki sposób należy zdobywać i sprawować władzę i z tego powodu ma nie tylko prawo, ale i obowiązek przewodzenia wszystkim komunistycznym partiom. Jako komuniści — o ile są prawdziwymi komunistami — powinni zrozumieć, że niezależnie od osobistych poglądów na takie czy inne sprawy, ich przyznanie

się do winy jest jedynym wyjściem z korzyścią dla sprawy. Będzie ono ostrzeżeniem dla innych. Lekarstwem dla wszystkich partii. Dla ich dyscypliny, czujności i siły — ostatnią i, w aktualnej sytuacji jedyną, przysługą, jaką oni, doświadczeni komuniści, są jeszcze w stanie oddać partii, klasie robotniczej, jej sprawie...

— I przyznawali się?...

— Tak, dla dobra sprawy... A kiedy ich rozstrzelowano, wołali, „Niech żyje rewolucja! Niech żyje komunizm! Niech żyje partia!...”

— Co za bzdura!... — zawołał Uszer. — I co za ohyda! Większej człowiek sobie po prostu nie może wyobrazić!...

— Co ty wiesz? Co ty wiesz o Rosji?... — powiedział Rozenberg wlepiwszy wzrok w kieliszek. — Wyobraź sobie nie trzy lata obozu koncentracyjnego, ale całe życie... W dodatku nikt nie chce, żebyś jak najszybciej umarł, lecz na odwrót, żebyś żył! I to jak najdłużej...

— Nie zgadzam się — powiedział Uszer. — Co innego życie, nawet najgorsze, a co innego eksterminacja... Dlaczego nie protestują? Dlaczego nawet nie skarżą się?...

— Rosjanin się nie poskarży... Nie znasz rosyjskiej natury.

— Boją się! Albo nie znają innego życia...

— Nie boją się. Rosjanie się niczego nie boją. I dobrze wiedzą, że istnieje inne życie. Po prostu się wstydzą... Nie przyznają się, że im źle. Widzą, że nic nie poradzą. Nie widzą wyjścia. A przecież muszą żyć... Człowiek żyje jak może. Ta zasada obowiązuje wszędzie, a Rosjanie ją znają najlepiej...

— Co mówili o tym, co Niemcy robili z Żydami?

— W Rosji mówiło się tylko o „zbrodniach wroga na ludności krajów okupowanych”...

— A o wymordowaniu ich własnych Żydów? O Kijowie, Odessie?...

— Mówiło się, że sowiecki naród cierpi i woła o pomstę na wrogu. Z punktu widzenia internacjonalizmu to przecież wszystko jedno...

— Jeżeli wszystko jedno, to dlaczego nie powiedzieć?...

— Trudno na razie zrozumieć. Partia przecież zawsze wie lepiej co robi...

— Tutaj partia bardzo potrzebuje Żydów. Nie ma się na kim oprzeć... Z drugiej strony, po cichu pomagają się wyjeżdżać do Palestyny. Przeciwno Anglii i żeby wyrobić sobie tam wpływy. Kwestia taktyki!... Młodzi wyjeżdżają. Po tym wszystkim, co zaszło, chcą być — jak mówią — u siebie. Trudno im się dziwić. Nikomu już nie wierzą. Ale co mają robić niemłodzi ludzie, jak my? Po tym piekle jeszcze tam jechać? Mieć do czynienia

z Anglikami, z Arabami? A co potem, kamienie gryźć?... Tu po pogromie w Kielcach partia stała się obrońcą Żydów. Ale z drugiej strony, za pogrom nikogo nie ukarano. Tu się też prowadzi mądrą politykę... Najlepiej stąd jednak wyjechać. Oczywiście, jak się ma gdzie...

— Pewno, jak się ma gdzie... I jak się coś umie — powiedział w zamyśleniu Rozenberg.

O tym, że mamy wkrótce wyjechać do Wenezueli Uszer Rozenbergowi nie powiedział. Takich rzeczy nie mówiło się nawet najlepszemu przyjacielowi.

W tydzień później Rozenberg przyszedł do Uszera z propozycją zrobienia interesu.

— Ty się zajmujesz interesami? — zdziwił się Uszer.

— A ty się nie zajmujesz?... — odpowiedział Rozenberg.

Chodziło o całą ciężarówkę stuprocentowej wełny, takiej jakiej nikt już nie miał na sprzedaż. Co tam ciężarówka! Dwie ciężarówki! A jak trzeba będzie to nawet i trzy. A przy tym prawie za bezcen.

— Za ile „za bezcen”? — zapytał Uszer.

— Za ile! Tu nie chodzi o pieniądze...

— Nie chodzi o pieniądze? A o co chodzi?...

— Nie rozumiesz?... Ten człowiek wyjeżdża. Jutro, pojutrze!... Zabiera walizkę i już go nie ma! Musi...

— Czy to legalny interes?

— Legalny, nielegalny!... Co w ogóle jest legalne w tym kraju?... Kradzione nie jest, dostajesz wszystkie papiery na rękę! No jak?

— Musiałbym się naradzić...

— Jak się będziesz długo naradzał, to kto inny weźmie i ani ty, ani ja nie będę nic z tego miał. Możesz mi wierzyć, że do kogo innego bym nie przyszedł, ale ciebie przecież znam nie od dziś...

Uszer, Nusen i Fryd poszli obejrzeć i towar im się bardzo spodobał. Można było raz a dobrze zarobić. Nie biegać już więcej, nie kombinować. Przed wyjazdem taki zarobek spadał im jak z nieba. Trzeba było jednak zapłacić grubym dolarowym banknotem. Już nie dziesiątki, dwudziestki i nawet nie pięćdziesiątki wchodziły w rachubę. Ba, nawet setek nie chciano. Liczyła się tylko pięćsetka, czyli „beczka”.

Towaru było za dwie „beczki”, a mogło być i za trzy. Rozenberg mógł się o to postarać. Beczka kosztowała znacznie więcej niż pięćset dolarów w jakimkolwiek innym banknocie i nie łatwo

było ją dostać. Ale na jednej „beczce” można było zarobić dwie. A mając w kieszeni tysiąc dolarów, było z czym ruszać w świat. W dodatku ryzyko było niewielkie. Uszer znał Rozenberga sprzed wojny. Siedział z nim razem w więzieniu!

Nusen i Fryd postanowili się dołożyć po „beczce”. Nie wzięli udziału tylko Majnemerowie, którzy mieli papiery do Belgii, byli już spakowani i nie wychodzili więcej na rynek. Czekali żeby sprzedać dom w Rembertowie, na który mieli już kupca.

Mama pojechała do Pabianic i do Ozorkowa i przywiozła trzy „beczki”. Nusen postarał się o wojskową ciężarówkę, a Fryd załatwił u dozorca dodatkową piwnicę w podwórzu.

Należność za towar wręczył Rozenbergowi Uszer. Rozenberg z początku nie chciał sam przyjąć pieniędzy. Twierdził, że to i tak nie dla niego i chciał, żeby Uszer poszedł z nim i zapłacił właścicielowi towaru. Uszer się jednak na to nie zgodził. Powiedział, że dolary może dać tylko Rozenbergowi i tylko w cztery oczy, bo nikomu więcej nie ufa. Rozenberg musiał się zgodzić.

Przyjechali z towarem na podwórze. Wyładowano w biały dzień, bez skrępowania, tak jakby to była jedna z najzwyczajniejszych dostaw. Szofer i dozorca pomagali. Kiedy ciężarówka obróciła drugi raz i zdejmowano już ostatnie sztuki tkanin, jeszcze jeden samochód zajechał na podwórze. Wysiedli z niego czterej cywile w butach z cholewami.

W tym czasie mama wracała do domu z zakupami na obiad. Weszła na schody i zobaczyła na naszych drzwiach pieczęć Komisji Specjalnej. Siatka z zakupami wypadła jej z rąk. Opanowała się i szybko zawróciła, ale pośliznęła się na rozlanej śmietanie, upadła i rozcięła sobie czoło. Nie wiedząc, że krew cieknie jej po twarzy wbiegła do ludzi, którzy wprowadzili się na miejsce Gaworczyków, z prośbą, żeby pozwolili jej otworzyć drzwi prowadzące do naszego mieszkania, drzwi o których tamci z Komisji Specjalnej widocznie nie wiedzieli.

Sąsiedzi przestraszyli się widząc jak mama wygląda. O otwarciu drzwi nie chcieli nawet słyszeć.

— Niech państwo wyjdą z domu, ja sama otworzę! — nalegała mama. — W razie czego będzie można powiedzieć, żeście o niczym nie wiedzieli!... Zaklinam, pozwólcie! Zostałam z dzieckiem na ulicy, jeśli tam teraz nie wejdem, nie będziemy mieli z czego żyć, ani w co się ubrać... Zaklinam was na wasze własne dzieci!...

Zgodzili się wyjść z mieszkania. Mama odsunęła wielką beczkę, w której sąsiedzi trzymali zapas wody. Beczka była pełna,

mama musiała odsunąć ją sama. Nie miała klucza do drzwi, więc wyłamała zamek. Potem z tą samą siłą, której się u siebie nawet nie spodziewała, odepchnęła szafę stojącą po naszej stronie. Odsuwając szafę potknęła się, uderzyła i rozcięła sobie usta. Trzymając się jedną ręką za usta, żeby nie zostawić świeżych śladów krwi, wyjęła z szafy ukryte w bieliznie pięćdziesiąt dolarów i kupon jedwabiu. Wepchnęła do walizki trochę ubrania i ciepłej bielizny, zarzuciła na plecy swoje przedwojenne palto, które odebrała w Mińsku od Dziurewiczowej i z powrotem zamknęła szafę. Gdy wychodziła, zobaczyła przez okno jak Uszera wprowadzają już na podwórze. Przyciągnęła z powrotem szafę, przymknęła za sobą drzwi i zastawiła z drugiej strony tą samą ciężką beczką z wodą.

Uszer, gdy go wprowadzili poznał, że szafa nie stoi na miejscu i że mama już była w mieszkaniu i poczuł się o wiele pewniej. O żadnych dolarach nic nie wie i nigdy nie miał. Dowodem tego jest dokonana rewizja, w czasie której nic nie znaleziono.

To samo Uszer powtórzył w śledztwie.

— A to co jest? — powiedział śledczy podsuwając mu pod nos dwie, dobrze Uszerowi znane, „beczki”. — Nie poznajecie?

— Nie — powiedział Uszer patrząc ze zdumieniem na pięćsetdolarówki, z których trzeciej jakoś nie było. — Skąd do mnie taka wielka suma pieniędzy?...

Śledczy dał ręką znak człowiekowi w butach z cholewami stojącemu przy drzwiach, drzwi się otworzyły i wszedł Rozenberg. Był również w butach z cholewami.

Adwokat kazał Uszerowi wziąć całą winę na siebie. Uszer towar kupił i Uszer zapłacił. Ale nie żadnymi dolarami, tylko zwyczajnymi, polskimi pieniędzmi, z których część pożyczył od Nusena i Fryda. Nusen i Fryd jako główni właściciele straganu mieli tylko ten towar, za odpowiednią prowizją, sprzedawać. Uszer nie jest ani spekulantem ani waluciarzem. Kupił legalny towar. — Rozenberg, który go do tego kupna namówił, gwarantował legalność towaru — i miał zamiar go legalnie sprzedawać. Sprawa z dolarami to podstęp, oszczerstwo i intryga.

W ten sposób adwokat ratował przede wszystkim Nusena i Fryda i w końcu udało mu się, za kaucją, wyciągnąć ich na wolną stopę do sprawy. Wyrok na Uszera, był zdaniem adwokata, nawet przy najlepszej obronie, nieunikniony. Ale miał on nadzieję, że ze względu na okoliczność przedwojennej działalności komunistycznej Uszera, polityczne więzienie i lata przecierpiane w hitlerowskich obozach zagłady, wyrok nie będzie wysoki.

Tymczasem jednak mama i ja zostaliśmy bez dachu nad głową.

Nocowaliśmy u Nusenów i Frydów. Majnemerowie wyjechali zaraz po tym, jak Uszer, Nusen i Fryd zostali aresztowani. Nie czekali nawet na sprzedaż owego domu, który odziedziczyli w Rembertowie. W ich pokoju mieszkała jakaś żydowska rodzina, która przyjechała z Rosji. Izaka Frydowa wysłała za granicę z kibucem Szomer Hacair.

Nie mieszkaliśmy jednak u nich długo. Gdy tylko Nusena i Fryda wypuszczono z aresztu, Frydowa i Nusenowa — obie już z dziećmi na ręku (problemu obrzezania nie było, bo to były dziewczynki) — wzięły po walizeczce i udały się „do wód” do Krynicy. Gdy szczęśliwie przekroczyły granicę, Nusen i Fryd, bez walizek, tylko z teczkami pod pachą, udali się taksówką na dworzec.

Od tamtej pory chodziliśmy spać do sąsiadów i innych dalszych znajomych. Chodziliśmy od jednych do drugich. Na dwie albo trzy noce. Dłużej nie pozostawaliśmy, bo w mieszkaniach i tak było ludziom ciasno i nie mogliśmy się im naprzykrzać. I tak było ładnie z ich strony, że zgadzali się nas przenocować. Nikt, nawet najbardziej niewinny, nie chciał mieć do czynienia z UB i Komisją Specjalną.

Ludziom, których aresztowała Komisja Specjalna zapieczęto wywano mieszkania, a po sprawie, o ile wyrok był skazujący, zabierano je razem z meblami i innymi wartościowymi rzeczami. A nie były to czasy, kiedy można było dać tysiąc złotych żołnierzowi i wprowadzić się do innego mieszkania. Wszystkie mieszkania zostały dawno zajęte. Nawet strychy i sutereny. A nowych domów nie budowano.

Mama jednak nie dawała za wygraną. Biegała do wszystkich możliwych urzędów. Opowiadała o naszych okupacyjnych przeżyciach. Płakała. Ale to już nie pomagało. Urzędnicy rozkładali ręce. W takiej sprawie nie mogli jej pomóc. Radzili, żeby interweniowała w Warszawie.

Mama pojechała do Warszawy. W Warszawie nie chciano z nią nawet rozmawiać. Nie wpuszczono jej nawet do budynku.

Była zima i padał śnieg. Mama stała przed gmachem i przyglądała się ludziom, którzy wychodzili. Stała do samego wieczora. W pewnej chwili zajechał samochód i zatrzymał się przed głównym wejściem. Z budynku wyszedł starszy człowiek. Kiedy mama zobaczyła, że człowiek ten wsiada do samochodu, podbiegła i chwyciła się drzwiczek. Był to ten sam człowiek, który nam w swoim czasie, w Łodzi, dał przydział na mieszkanie.

— Towarzyszu Jasiński! — zawołała mama. — Pan mnie



nie poznaje? Ja jestem tą kobietą, która przeżyła z dzieckiem na aryjskich papierach!... Niech pan sobie przypomni!... Przyjechałam z Łodzi! Niech mnie pan ratuje! Nie pamięta pan? Dał mi pan wtedy przydział na mieszkanie... Niech pan sobie przypomni, błagam!...

Szofer zamierzył się, żeby mamę odtrącić od drzwiczek.

— Chwileczkę! — powstrzymał go Jasiński. — Tak, przypominam sobie. A o co chodzi? Co się właściwie stało?

— Nie mam już mojego mieszkania! Zabrali! Jest zima, a oni zostawili mnie z dzieckiem na ulicy! Nie mamy nawet ciepłego ubrania!...

— Ależ kto to zrobił? Dlaczego?!...

— Nie wiem dlaczego! Przez podłość, zwyczajną ludzką podłość!... Błagam, niech mi pan pomoże!... Nie mam przecież nikogo na świecie... Tylko pan może mi pomóc...

— Niech pani nie płacze... Niech pani przyjdzie jutro o dziewiątej. Zobaczmy co się da zrobić...

Mama była nie o dziewiątej, ale już o ósmej rano. Ale portier znowu nie chciał jej wpuścić i czekała na ulicy. Tego dnia był silny mróz. Mama nie mogła ustać w miejscu, chodziła tam i z powrotem, żeby się rozgrzać. O dziewiątej znów zapukała.

— Czego pani znów chce? — spytał portier przez zakratowany otwór.

— Przecież panu mówiłam, że jestem umówiona z towarzyszem Jasińskim... — powiedziała mama.

— Towarzysz Jasiński nikogo nie przyjmuje — powiedział portier.

— Ale ja jestem z nim umówiona! Niech pan zapyta, on panu powie...

— Pani mi nie będzie mówić, co ja mam robić! — powiedział portier, opuścił klapkę i odszedł.

Mama nie odchodziła od drzwi. Po godzinie nadszedł listonosz. Portier uchylił klapkę w drzwiach, a widząc, że to listonosz, otworzył. Mama rzuciła się za listonoszem. Portier chwycił ją i usiłował wypchnąć. Mama zaczęła krzyżeć. Na ten hałas otworzyły się drzwi jednego z gabinetów i ukazał się w nich towarzysz Jasiński.

Mama opowiedziała Jasińskiemu całą prawdę. Nie ukrywała nawet o dolarach. Jej mąż, mówiła, padł ofiarą ukartowanej prowokacji. Tym wstrętniejszej, że ze strony dawnego kolegi partyjnego, z którym razem siedział w więzieniu, w jednej celi. Za komunizm. Jej mąż z czterdziestu lat życia, cztery spędził we Wronkach, trzy w warszawskim getcie, dwa i pół roku w obozie koncentracyjnym. Przeszedł przez selekcję w Treblince, przeżył

Mauthausen. Czy to nie dość jak na jednego człowieka? Za co ma znów siedzieć w więzieniu? Teraz, gdy ledwo wrócił do życia. Czy zrobił komuś coś złego? Czy miał jakieś przestępcze zamiary? Został sprowokowany! Przychodzi się do ludzi, namawia do nielegalnych rzeczy, żeby wsadzić ich do więzienia?... To się po prostu człowiekowi w głowie nie mieści. Tego nawet Niemcy nie robili! O co właściwie chodzi? Żeby donosić? Dobrze. To można jeszcze zrozumieć. Takie rzeczy zawsze były. Ale żeby, jak się nie ma co donieść, przyjść i sprowokować? A jak się nie ma kogo, to dawnego przyjaciela? A jego żonę z dzieckiem na ulicę, na mróz? I takiemu człowiekowi daje się za to stanowisko?... Czy w ten sposób teraz się zbiera zasługi? I tacy ludzie będą teraz na stanowiskach? Przecież nikt nie będzie pewny dnia ni godziny! Po to tyle przeżyliśmy? Taką wojnę? Tamten człowiek nie przeżył prawdziwej wojny. Gdyby przeżył to samo co my, nie uczyniłby tego. Ale on tam, gdzie był, nauczył się tylko donosić i prowokować. Komu to potrzebne? I na co? Czy mało jest prawdziwych przestępstw? Czy za mało ludzi w więzieniach? Czy takich prostych rzeczy nie może zrozumieć sąd?...

— Ja pani wierzę... Takie rzeczy się teraz, niestety, zdarzają — powiedział Jasiński. — Ale czy może uwierzyć sąd?... Sąd wie tylko jedno, przestępstwo zostało popełnione. To bardzo przykra sprawa i trudno na to poradzić. Jedyna rzecz jaką mogę uczynić, to postarać się, żeby wpuszczono panią z powrotem do mieszkania. — Jasiński podniósł słuchawkę i przy mamie zadzwonił do Łodzi.

Mama wsiadła w pociąg i jeszcze przed czwartą była w Komisji Specjalnej w Łodzi.

— Pojechała pani do Warszawy, żeby na nas naskarżyć? — powiedział urzędnik, do którego mama zgłosiła się po klucz.

— Jak będzie trzeba, to jeszcze raz pojedę — odpowiedziała mama.

— No, niech pani uważa, bo może pani kiedyś za daleko zajechać!

— Nie straszcie mnie! Nie takich strasznych już przeżyłam to i was przeżyję... — odpowiedziała mama. — Oddajcie mi klucz!

Z kluczem kurczowo zaciśniętym w ręku i słaniając się na nogach mama weszła na schody. Zerwała pieczęć i otworzyła drzwi. Przytrzymując się ściany podeszła do łóżka i upadła.

Mama przez dwa tygodnie nie wstawała. Miała zapalenie płuc. Ale gdyby nie dostała się wtedy do Jasińskiego, nasze mieszkanie razem z meblami i innymi naszymi rzeczami zostałyby oddane

Rozenbergowi. Już była nawet podpisana decyzja w tej sprawie.

Ludzie przynosili nam jedzenie i byli pełni podziwu dla mamy.

— Dokonała pani cudu! — mówili. — Od nich wyostać mieszkanie? To trzeba umieć! Nic dziwnego, że przeżyła pani wojnę...

Mieszkanie odzyskaliśmy, ale z pięćdziesięciu dolarów, które mama zdążyła wtedy wyjąć z szafy, nie zostało już ani grosza. Nie mieliśmy na zapłacenie adwokata, który bronił Uszera i w ogóle nie mieliśmy za co żyć. Więc zaraz po chorobie mama pojechała do Mińska Mazowieckiego, do notariusza Janczewskiego, który przed wojną mieszkał w Dobrem.

Janczewski wynajął samochód i pojechał z mamą do Dobrego, żeby sprzedać tę ćwierć kamienicy po moim dziadku z Nowej Wsi. Nikomu się w Dobrem nie pokazywali, tylko zajechali przed gospodę, gdzie byli umówieni z kimś, kto chciał tę część kamienicy kupić.

Ponieważ umówiony człowiek długo nie przychodził, zamówili sobie obiad. Nagle do gospody wszedł brudny, nieogolony chłop. Zamówił wódkę, wypił, po czym rozparł się w krzesło i patrząc w stronę mamy zaczął się brzydtko uśmiechać owym uśmiechem, którym tacy jak on uśmiechają się patrząc na Żydów.

— Powiedźcie jej! — zwrócił się do wszystkich obecnych z wyjątkiem mamy. — Powiedźcie jej, żeby się stąd wynosiła, bo może być krótsza o głowę!...

Mamie łyżka wypadła z rąk. Pan Janczewski wstał, wziął mamę pod rękę i natychmiast wyprowadził. Nie czekając na nikogo wsiedli do samochodu i odjechali.

— Mało im jeszcze! — powiedział pan Janczewski. — Wszystkiego im mało! Mało się jeszcze obłowili... Niech pani tu więcej nie przyjeżdża! Oni są przecież zdolni do wszystkiego... Niech pani tu więcej nie wraca. Ja panią o to bardzo proszę...

Adwokat bronił Uszera bez pieniędzy. Dostał zaliczkę na poczet obrony Nusena i Fryda, a ponieważ Nusen i Fryd uciekli i nie potrzeba było ich bronić, więc powiedział, że może obejść się bez pieniędzy. Nie zażądał pieniędzy nawet za stawanie do apelacji.

Wyrokiem pierwszej instancji Uszera skazano na pięć lat więzienia z możliwością zamiany na obóz pracy, gdzie w zależności od wydajności pracy każdy dzień mógł być liczony jako półtora. Adwokat złożył apelację i w drugiej instancji uzyskał skrócenie kary do lat czterech z zaliczeniem czasu aresztu.

Mama chciała oddać mnie z powrotem do Helenówka. Zwró-

ciła się do Komitetu Żydowskiego. Ale dostała tylko dwie puszki kakao i trochę zimowej odzieży. Pani Rojtholcowa nie zgodziła się mnie przyjąć. — W naszym domu dziecka nie ma miejsca dla dzieci spekulantów — powiedziała.

W Komitecie byli jednak ludzie, którzy rozumieli sytuację mamy. Skierowali mnie na badanie lekarskie. Miałem szczęście, okazało się, że rzeczywiście zacząłem chorować na płuca i dostałem skierowanie do dziecięcego prewentorium przeciwgruźliczego daleko od Łodzi, w Sudetach.

Znów chodziliśmy w amerykańskich ubraniach i jedliśmy amerykańskie witaminy, a ze strychów przynosiliśmy niemieckie sanki, narty i znaczki pocztowe. Całe pudła znaczków z wizerunkiem Hitlera. Znosiliśmy te pudła ze strychu, stawialiśmy na środku pokoju, nabieraliśmy w garści i obrzucaliśmy się nimi, jak gdyby to było confetti. Znów wierzyliśmy, że wygraliśmy wojnę.

Rano budziła nas pielęgniarka dzwoniąc termometrami. Kto nie miał gorączki, przypinał narty i jechał do szkoły. W szkole pytano nas o wyznanie. Kto nie wiedział, co to znaczy, odpowiadał — z prewentorium — i zapisywano mu „mojżeszowe”. Starsi chłopcy protestowali. Mówili — wyznanie żadne! Nauczyciel uśmiechał się. — Nie może być „żadne” — i pisał „mojżeszowe”.

Lubiliśmy naszego nauczyciela, chociaż za nieposłuszeństwo nie żałował nam bicia. Uczyliśmy się, trzecia, czwarta i piąta klasa razem, w jednej sali. Nie dlatego, żeby za mało było sal, nie było nauczycieli. Byliśmy spóźnieni w nauce, chłopcy z piątej klasy byli wyżsi od nauczyciela. Śmieli się, gdy ich bił drewnianą linią w łapę, albo w tyłek. Gdy pytał czy dosyć, odpowiadali — mało! I brali dodatkowe bicie. My, mniejsi szliśmy za ich przykładem i też wołaliśmy „mało!” chociaż nas to naprawdę bolało. Lubiliśmy go, bo bił nas bez złości. Poza tym bicie wytwarzało pomiędzy nami ów intymny stosunek, za którym bezwiednie tęskniliśmy — mało kto z nas pamiętał swojego ojca. Więc rano ukradkiem strząsaliśmy pod kołdrą termometr, jeśli rtęć podnosiła się za wysoko, co groziło niepójściem do szkoły.

Dostawaliśmy naświetlania sztucznymi promieniami i leżakowaliśmy na werandach, gdzie wychowawcy czytali nam opowiadania z „Serca” Amicisa. Wieczorami opowiadali nam angielskie, amerykańskie i rosyjskie filmy, które specjalnie w tym celu jeździli oglądać w oddalonym o trzydzieści kilometrów mieście. I w książkach, które nam czytali i w filmach lepsi ludzie zawsze odnosili zwycięstwo. Nawet jeśli ginęli. Słuchaliśmy z przejęciem, ginęliśmy i zwyciężaliśmy razem z nimi.

Nasi wychowawcy byli dorosłymi ludźmi i jako dorośli przeżyli wojnę. Nie można jednak powiedzieć, że nas oszukiwali. Oni jeszcze wtedy nie wiedzieli, jak niewielka jest różnica pomiędzy pokojem a wojną. Która właściwie nigdy się nie kończy, a tylko chowa się pod powierzchnię życia i tam trwa. My to czujemy, dlatego się ciągle czegoś boimy. Pod jednym względem może lepsza jest prawdziwa wojna: podczas wojny czeka się na pokój. I naprawdę weń wierzy.

Naszym wychowawcom chodziło o to, żebyśmy uwierzyli w zwycięstwo. I to im się udawało. Nie można mieć do nich pretensji. Pretensje można mieć do kogo innego. Oni wierzyli, właśnie dlatego że byli dorośli i uważali, że jeśli ludzie raz popełnią wielki błąd, to potem już wiedzą co robić, żeby takiego błędu nie powtórzyć. My zaś wierzyliśmy, bo byliśmy dziećmi. Myśleliśmy, że wojna jak ta, którą przeżyliśmy, w ogóle zdarza się tylko raz w życiu i ten kto ją przeżył jest całkowicie uratowany, a my przecież mieliśmy ją poza sobą.

Jedno tylko mnie zastanawiało. Uszer był znowu w więzieniu. Mama, znów sama, biegała po obcym mieście, ukrywając w teczce nielegalne kupony tkanin, przekupywała strażników, przez których posyłała do więzienia paczki. Mój ojciec zaś leżał w ziemi. Koło Radoszyny. Przy drodze. Trawa rośnie tam wyżej i ma wyraźnie odmienny kolor — a ludzie codziennie tamtędy przechodzą, z pola i na pole. I nikt nie miał odwagi powiedzieć — kto zabił? Ba, nikt nawet nie miał odwagi zapytać...

— Więc jak się właściwie skończyła ta wojna?...



**A C H E V E D ' I M P R I M E R  
L E 2 4 J A N V I E R 1 9 6 9  
S U R L E S P R E S S E S D E  
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D  
2 4 , R U E S T E P H E N S O N  
P A R I S ( X V I I I ° )**

**Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1969**

Dar  
Instytut Polski  
w Sztokholmie



**Cena 9 F (dol. 2,25)**